

WŁOŚCIANIE
z
OKOLIC KRAKOWA

W ZARYSIE SKRĘŚLI.

JÓZEF MACZYŃSKI.

z RYCINAMI

MICHAŁA STACHOWICZA.

Zo zbioru

ADAMA KAJZEGO

KRAKÓW.

NARZĄD I Druk JÓZEFA CZECHIA.

1858.



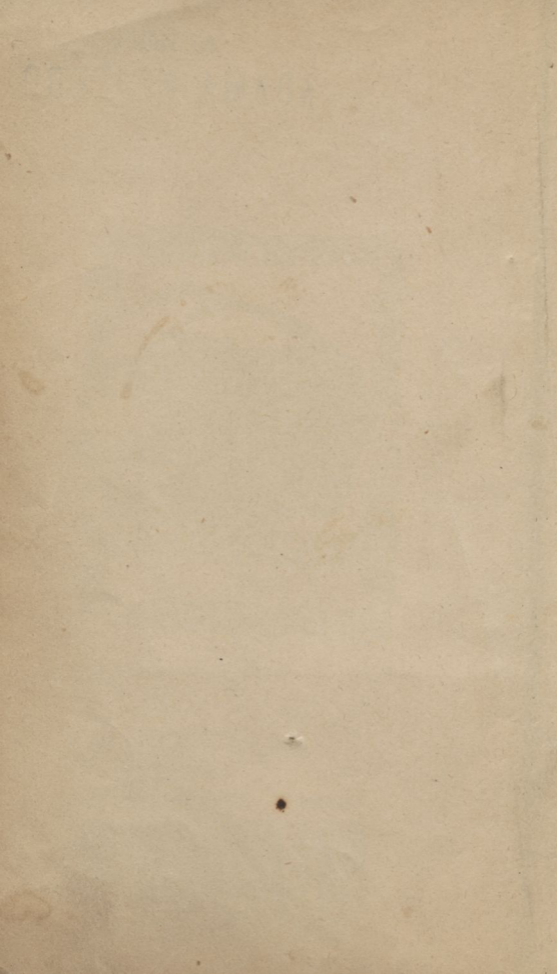
Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000340383

Ze zbloru

ADAMA KAJZEGO



WŁOŚCIANIE

Z

OKOLIC KRAKOWA.





Krakowianka .



Stachowicz del.

Lanser sc.

Krakowiak.

WŁOŚCIANIE
z
OKOLIC KRAKOWA

W ZARYSIE.

JÓZEFA MĄCZYŃSKIEGO.

z RYCINAMI

MICHAŁA STACHOWICZA.

— Ze zbioru
ADAMA KAJZEGO

KRAKÓW.

NAKLAD I DRUK JÓZEFA CZECHA
1858.



I 42705

Akc. N. K 1432161

WŁOŚCIANIE

Z OKOLIC KRAKOWA.

Swiadczą dzieje, że Kraków, jeszcze w przed Chrystusowych czasach, był miastem leżącym w pośrodku osiadłego ludem Słowiańskim, tego wielkiego ziemi płatu, na którym ani zbyteczny mróz uczuć nie zamrozi, ani zbyteczny skwar namiętności nie rozogni. Ale śladu téj Słowiańszczyzny niema w Krakowa budowach, a mało wydatnym jest w mieszkańcach; bo dawne drewniane świątynie i mieszkalne budynki przemurowano na kościoły i domy, a mieszkańców charakter, zwyczaje, obyczaje i ubiór zobczyły po większej części,

to stosunki z innemi ludami, to obey przybysze.

Jak u wszystkich Plemion Słowiańskich ślad dawniej Słowiańszczyzny widoczniejszym jest między ludem zamieszkującym wsie, nie miasta, tak też i widoczniejszym masz go u włościan w rozłożonych wioskach w około Krakowa.

Ale u jednych plemion Słowiańskich, jest ten ślad wydatniejszy, u drugich zaledwie widzialny. Tęj różności powodem są zmienne koleje, na których przejście wskazały losy też plemiona, po rozpadnięciu się Słowiańszczyzny.

Chrobatowie, których jedną gałązką są włościanie z okolic Krakowa, należeli do tych szczęśliwych plemion, co najdłużej pod własnymi żyli rządami, a przeszli potem pod władzę innych Słowian, jako to: Morawów, Czechów, a wreszcie orężem Bolesława Chrobrego, złączeni zostali nierozłącznym

nigdy narodowym związkiem z temi Słowianami, którym, pod rządami następców jego, Polska była matką.

Stąd też wydatniejszym śladem pochodzenia słowiańskiego, nacechowani są Włościanie z okolic Krakowa. W spuściznie po tych przodkach, odziedziczyli nietylko ich chwalebne przymioty, ale też i wady; ich równie uwielbiane cnoty, jak karogodne występki. Odziedziczonych z wiary bałwochwalczą przesądów, guseł, obchodów, niezdolała wyniszczyć w nich wiara chrześcijańska przez blisko dziesięć ubiegłych wieków. Jedne dotychczas przechowują, drugie połączone z powstałemi na łonie chrześcijaństwa, tworzą u nich dziwną mieszaninę pogaństwa z chrześcijaństwem.

Można powiedzieć, że Włościanie z okolic Krakowa, należą jeszcze do tych ludów, których czas w swym polocie prawie ominął i pozostawił ich

takimi, jakimi byli w odległej przeszłości.

Lecz tych włościan, pomimo jednostajności usposobienia moralnego, podzieliły, jakby na rasy, zewnętrzne okoliczności— to natura swym wpływem wywieranym na osadników każdej piędzi ziemi— to prawa i postępowanie rządów, pod których władztwo później przeszli— to wreszcie zatrudnienia przemieniające charakter i zwyczaje ludzi.

Tak podzieleni przez przeszłość i terażniejszość, odróżniają się nie tylko fizyczném i moralném usposobieniem, nazwami nadanemi im to od miejsca zamieszkania, to od zatrudnienia; ale także ubiorem i formami nawet zewnętrzniemi organizmu, tym typem wyłącznym każdej miejscowości.

Odróżnienia te, a szczególnie pod względem moralnym, są między temi włościanami, choć najbliżej sąsiadującymi, wybitniejsze, aniżeli między mieszkańcami odległych od siebie miast

polskich; bo wspólne życzenia, ogólne wyobrażenia i wszelkie pod tym względem odróżnienia nie nikną i niejednoczą się u nich jak w miastach, gdzie ogólna cywilizacya swój wpływ wywiéra.

Wszystkie te jak nazwałem rasy, żyją prawie w odosobnieniu; ludzie z nich nieprzenoszą się jedni do drugich, ani łączą związkami małżeńskimi. Dziwnem jest prawdziwie, że między temi ludźmi, między którymi niema, ani różnicy plemienia, ani różnicy religii, tak widoczne spostrzegamy rozdzielenia.

Bóg, co tak szcudrze przybrał ziemię Krakowską w coraz nowe i miłe i smętne widoki, zrządził zdaje się także, aby i lud téj ziemi coraz innym się przedstawiając, podwyższał i urozmaicał tych widoków piękności tém, co jest w nich najszczytniejszego, to jest, ludźmi.

Przedewszystkiem odróżnijmy ich,

jak się odróżniają nadanemi ich nazwami.

KRAKOWIAKI.

Jest ogólna nazwa włościan zamieszkujących wioski położone po lewej stronie Wisły. Włościanie z wiosek najbliżej okalających Kraków jako to: z Krowodrzy, Czarnéj Wsi, Nowéj Wsi i Łobzowa, znani są pod nazwą Ogrodników ztąd, iż ich prawie jedyném zatrudnieniem jest ogrodnictwo, a wyłącznie warzywne. Pola tych wsi nie okrywają zboża, ani zacierają drzewa ale stanowią one jakby jeden wielki ogród warzywny, a tak uprawny, tak gospodarczo urządzone, iż za wzorowy ogród uważanym być może. Nie natura, ale praca włościan z łatwą pomocą zwożonych nawozów z Krakowa, utworzyła tu pokład sztucznej ziemi inspektowej, która okryła równiny tych wsi, pokrajane w tysiące wyniosłych zagonów. — Każdy taki zagon do późnej jesieni przedstawia początek wiosny; bo ciągle przywdziewa nową

zieloną szatę. Znaństwo i gospodar-
ność tutejszych włościan, ani na chwi-
lę przez ten czas niedozwolą wypo-
czynku ziemi, ale ciągle każe jój ro-
dzić jedne po drugich warzywa. Stąd
na takim zagonie zobaczysz ich ciągle
pracujących; ciągle sadzą, okopują,
plewią i zbierają. Ale też tę pracę u-
wieńcza pomyślny skutek, i Ogrodnicy
ci nietylko dostarczają jarzyn Krakow-
owi, ale żywią swoją kapustą mie-
szkańców z górzystych zawiślańskich
okolic, a nawet ślą na targi wielkich
miast Warszawy, Berlina, Wrocławia
znane z swój dobroci krakowskie kar-
czochoy.

Nie można pominąć bez wspomnie-
nia wiosek oddzielonych od Krakowa
rzeczką Prądnik i od téj nazwanych
Prądnikami, a których jest siedm.

Włościan z tych wiosek mianują
w Krakowie zwykle Prądniczana-
mi. Trudnią się oni pieczywem chle-
ba, który od nich znowu dostał nazwę

Prądnickiego. Chleb ten żytni, dobrze wypieczony, a smaczny, mający tę zaletę, iż przez długi czas nie pleśnieje, odznacza się także swą wielkością, gdyż bywa i w takich bochenkach, które mają 3 stopy średnicy a stopę grubości.

Włościanie w wioskach położonych poza rzeczką Prądnik a okrążających mogiłę Wandy, trudnią się uprawą roli. Chociaż nie odróżniają się nazwą od innych Krakowiaków, jednak odróżniają się od nich, jak zobaczymy, ubiorem, a w części i charakterem, a mianowicie od mieszkańców dalszych wsi, położonych w okół miasteczek: Proszowic i Szkalmierza, a od których zowią się: Proszowiaki i Szkalmierzaki.

Jak ogólną nazwą włościan osiadłych po lewej stronie Wisły jest Krakowiak, tak ogólną nazwą włościan osiadłych po prawej jej stronie jest: Łodgórzanin. Pomiędzy temi od-

znaczają się Kija ki, zwani także Wolniczanami, zamieszkujący wsie położone poza górą Krzemionki.— Dawniej, kiedy przepisy policyjne, mniej baczone na zdrowie ludzkie, dozwalały im ze zabitego u siebie bydła, sprzedawać mięso po Krakowie; wtedy roznosiły po domach włościanki z tych wsi wręcznych koszykach, kielbasy, kiszki, a włościanie na kiju wspartym na ramieniu dychy, polędwice i od tego to kija, kijakami ich nazwano.— Lecz, gdy po roku 1815. pozwolono im tylko sprzedarż tę skuteczniejszą w wystawionych na ten cel jatkach, wtedy lud jatki te, dla odróżnienia od jatek rzeźników krakowskich, nazwał Wolnicą, a od niej dawnych kijaków Wolniczanami.

Następnie są tu włościanie zwani Skawiniaki od miasteczka Skawiny. Zatrudniają się uprawą roli, wyjąwszy niektóre wsie, gdzie ze skupionych koni do pracy już niezdatnych zdejmują skóry

i te, zgrubsza wyprawione. sprzedają do fabryk garbarskich; a w drogich zatrudniają się robotą szlusarską, i wyrobami swemi znaczny handel prowadzą. Pierwszych zowią w Krakowie Skotniczanami od wsi Skotniki, a drugich Świętnicznanami od wsi Świętniki, jako wsi przodkujących w tych zatrudnieniach.

Nazwę Gorali otrzymali włościanie wiosek położonych w górzystych okolicach cyrkułów: Wadowickiego, Bocheńskiego i Sandeckiego. — Grunta górzyste i nieurodzajne przymuszają ich do starania się o inny sposób utrzymania. Jedni, trudnią się cioselką i stolarszczyzną; drudzy, rozchodzą się po całym kraju i wynajmują do koszenia łąk i zboża, trzeci, drutują stare gliniane naczynia; a inni, prowadzą handel, kwiczolami, suszonymi rybami, deszczkami, gontami, płótnem i innym drobnym towarem.

Można powiedzieć, że w ogólności

ci wszyscy włościanie z okolic Krakowa, są jak zazwyczaj ludzie pochodzenia Słowiańskiego, doskonale zbudowani, średniego wzrostu, muskularni, z piękną fizygnomią, z owalną kształtną głową, z błękitnem okiem, wydatnym nosem. Cera i włosy u dzieci ich są jasne, lecz łatwo ciemnieją od działania promieni słonecznych i masz między nimi najwięcej szatynów.

Ich twarz poważna z wejźreniem spokojném, przedstawia połączone męstwo z łagodnością te przymioty odznaczające ludy Słowiańskie.— W ich wyrazie twarzy, w tym fotografie wewnętrznej istoty człowieka, widać zdolności umysłu i szlachetne uczucia serca, zapowiadające przy wykształceniu piękną przyszłość temu ludowi.

Jednak ci włościanie różnią się między sobą w cechach naturalnych, i tę dopatrzoną w nich różnicę wykazują.

Tak nazwani Gorale, niezaprzecze-

nie, są najpiękniejszymi włościanami z okolic Krakowa, a szczególnie z ich wiosek jak oni zwą Dziejzin, w około Żywca, bo celują w urodzie i pięknej postaci.— Ich Haśnik, to jest młodzieniec, w roku ośmnastym może służyć za model do posągu Apollina, w trzydziestym na Herkulesa, a ciężar lat ośmdziesięciu nie pochyli prostej i śmiałej budowy ciała starego goralą Gospodunem zwanego. Cera ich twarzy jest brunatna, oko duże, czarne, pełne wyrazu i życia, włosy ciemne, na czole rozdzielone, wiją się w pierścienie i spadają na ramiona, przy czem tak malowniczo twarz ich wygląda, jak znany obraz Salvatora mundi. Ich dziewczek piękność, lubo zasługuje na uwagę znawców, tę jednak u innych włościanek czasem znaleźć można; lecz takiego kroju kibici, tak drobnych rąk, małych stóp i śmiałej a zręcznej postawy, trudno znaleźć gdzie indziej w pracowitej klasie kobiet.

Szkoda, że niemożna zaprzeczyć prawdy tym słowom, które czytamy o nich w opisie Górali Bieskidowych: Dziewczęta dorosłe są emancypowane, same bez matek chodzą do kościoła i i do gospody na tańce. Mężatki zaś mniej są samowolne i więcej na pozór skromne, jednak że o ich wierności różnie autorowie piszą.

Żebyś jednak niemyślał, że same Apolliny i Wenery zamieszkują te góry, muszę wspomnieć, że tu są także z cygańską cerą Orawiaki i górale od Suchej i Makowa z wielkimi gardłami, między którymi znajdziesz i obmierzlą brzydotę, która ma u nich nazwę *Gid*.

Podgórzanów typem jest kształtna budowa ciała; lecz twarz ich, chociaż pełna i foremna niema już tego wyrazu miłego i ujmującego, jakim odznaczają się Górale. Przekonają cię o tém szczególniej Kijaków i Skotniczian twarze, pomimo tego, że je ubar-

wia rumienieć tak rzadko przebijający przez ogorzałą skórę naszych włościan. Może ten sąd o Kijakach i Skotniczanach wydali patrzący na nich z tém uprzedzeniem, że takim musi być wyraz twarzy ludzi, u których srogie obchodzenie się ze zwierzętami, a cóż dopiero ich zabijanie, jeżeli niewygładza to stępia, uczucie litości. Że na twarz ich można patrzeć z tém uprzedzeniem przypuszczam; ale następne zdarzenie udowadnia prawdziwość powyższego zdania. Jądący konno natrafił za wsią Skotniki leżącą przy drodze starą żebraczkę. Chcąc ją ratować wraca do wsi, wzywa przed karczmą stojących włościan, aby z nim przynieśli tę kobietę. I jakąż otrzymał odpowiedź? „Już tam niepojedziwa, bo gdyby umarła, toby człeka pociągano do protokułu, a my na to niemawa czasu.“

Jakie uczucia są Podgórzanek, niewiem, ale w twarzach Kijaczek znajdziesz przeciwnie jakąś smętność uj-

mującą miłą, jakąś powagę obudzającą dla nich szacunek.

U tak zwanych Ogrodników, praca ich niewysilająca siły człowieka, pożycie z mieszkańcami miasta, obudzające większą działalność umysłową, uczyniły tych włościan mniej muskularnymi od innych i zrządziły wyższość systemu nerwowego nad muskularnym. To nadało kształtnym ich twarzom zniewalający i zajmujący powab, nawet i tym, których formy oddzielnych części twarzy mniej są piękne.

Spostrzeżenie ostatnie jest zaszczytnem dla nich, gdyż taką przeciwność widzimy tylko u ludzi zalecających się dobrocią serca, prawością życia; bo tylko piękność moralna może uprzyjemnić podobne rysy twarzy.

Gdy w innych okolicach Krakowa mężczyźni są żywsi, ruchliwsi od kobiet, to tu znajdziesz przeciwnie. Przyczyna tego łatwa jest do odgadnienia. Niepracując kosą i cepami, ani jeżdżąc

konno, pozbawiają się tych przymiotów zalecających Krakowian. Ale nie umiem wskazać przyczyny dla której twarzy Ogrodniczek nieprzystrajają się tym uszlachetniającem wyrazem, jak męskie, i że mężczyźni jako mężczyźni, co do piękności rysów twarzy, mają tu pierwszeństwo nad kobietami, a co znów przeciwnie jest w innych wsiach otaczających Kraków.

Powiedziałbym, że przyczyną jest życie jakie prowadzą, gdybym nie miał przekonania, iż to co napiszę odnosi się zaledwie do trzeciej części tych wieśniaczek.

Ogrodniczki na placach Krakowskich trudnią się wyprzedają jarzyn; ich małe córki, a szczególnie mniej zamożnych rodziców, roznoszą te jarzyny po domach, a tak żony bez mężów, córki bez rodziców, mają ułatwioną sposobność robienia co im się podoba, tę sposobność wielce się przyczyniającą do zepsucia. I tak się też

dzieje. Stąd często natrafiamy w tych wioskach na nieskromną młodzież, na nieprzykładne małżeństwa, a widzimy niektóre ogrodniczki, po winiarniach i miodziarniach krakowskich, przepijające pieniądze zebrane za sprzedane jarzyny.

Że tak jest, widzimy, że tak było, świadczy dawna ich piosnka, którą śpiewają:

Ogrodniczka wraca,
 Ale się potaca,
 Kieska się nie wzdyma,
 Bo w niej czeskich niema.
 W głowie tylko mecha,
 A tu leci strzecha.

Prądniczanie jak i wieśniacy z okolic Mogiły noszą na swój twarzy jakiś wyraz nie zadowolenienia, śmiech rzadko umiła jej wydatne rysy. Chód ich ociężały, znużonego lub chorowitego przedstawia człowieka. Lecz gdy im muzyka zarznie od ucha i wy-

woła w taniec, wtedy i twarze ich się rozpłomienia i nieupatrzyś tej ociążałości. Z dziarską miną w takt przytupując i klaszcząc, przyskoczą do dziewczyny i z wybraną ujętą w objęcia i prawie uniesioną, tak tańczą, że zaraz poznasz, iż ich serca Krakowska krew ożywia, a taniec ten, jest ich narodowym tańcem.

Tylko przypadkiem, żebyś nie natrafił na tę nieszczęśliwą chwilę, kiedy powiedziawszy: „Potaneczma sobie z pańska“ — zaczną kręcić się w stajerze lub w innym obcym tańcu, co przywędrował tu do nich z sąsiedniego im Krakowa, bo mógłbyś sądzić, że mijam się czasem z prawdą, gdyż wtedy tak każdy z nich wygląda, iż można zastósować do nich przysłowie: Jak wół przy karecie.

Proszowiaków i Szkalmierzaków czytałeś opis, gdyż ten ci dałem w ogólnym opisie włościan z okolic Krakowa. Przechowali oni bez żadnych prawie

zmian to piętno, jakim nacechowało włościan Krakowskich ich pochodzenie Słowiańskie. To tylko mogę dodać na ich pochwałę, że są do pracy ochoczy, do jazdy konnej od dzieciństwa wprawni, gościnni, nie popędliwi ani mściwi, w pożyciu domowém zgodni, moralności pilnie strzegą, i że ich dziecięta są zdrowe, hoże, wielce dbające o swój honor. Odróżniają się na koniec wymienieni włościanie Krakowscy ubiorem, w którym badacze starożytności widzą oznaki dawnego ubioru Słowian, a nawet dopatrują, że Krakowiacy podobnie jak i mieszkańcy z okolic Cattaro nad brzegami morza Adryatyckiego, przechowali w swoim ubraniu nietylko krój, ale i kolory po swych przodkach Słowianach.

Jest to prawdziwie zadziwiającą rzeczą, że ci włościanie z taką stałością w tem odróżnili się od przodków naszych, którzy co rok prawie inaczej

się ubierali, co wyśmiewając Potocki napisał:

Nieznajdziesz, byś z wszystkiego świata
 ta krawców użył,
 Coby suknią Polakom wedle mody uszył;
 Jednej minuty, swojej formy nie dotrzyma
 Zawsze albo szczupleje, albo się odyma.

Ale i włościan ubranie zmieniała moda; w dowód czego, odwołuję się do następnego opisu ułożonego z wiarodnych źródeł przez Maciejowskiego, a zamieszczonego w jego dziele Polska i Ruś aż do pierwszej połowy XVII wieku, gdzie czytamy: „Chłopki polskie stroiły się we święto lub na wesele w pas puklasty półaksamitowy z zanklem (ze sprzączką), w kabatach (spodnicę) z czamletu lub z ceglastero muchajeru a nawet niekiedy z aksamitu. Koszulę, chłopka brała białą lnianą i pasztugę (fartuch) z końcem (z falbaną) i letnik poczesny.“

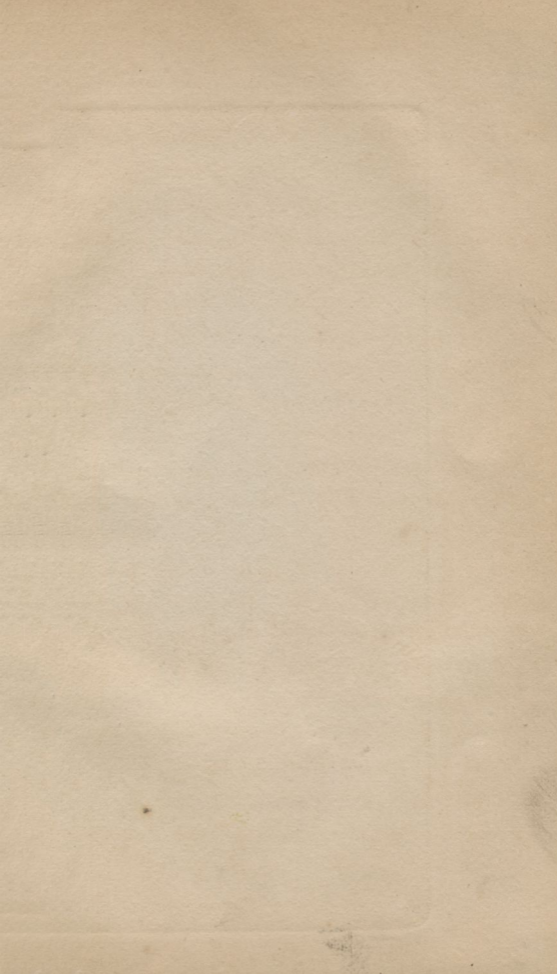
Ten dawny ubiór porównauy z te-

rażnijszym, udowadnia, że i ubiór włościan ulegał także zmianom. Podobnych udowodnień moglibyśmy wiele przywieść, a nawet odwołać się do zmian zaszłych w naszych czasach; lecz, gdy naszym głównym zamiarem jest wypowiedzieć jakimi są a nie jakimi byli włościanie, więc po zrobieniu powyższej uwagi, przystępujemy do opisu terażniejszego ich stroju.

Ogrodnicy odróżniają się szczególniej od innych Krakowiaków ubiorem, któren, można nawet powiedzieć, nie jest ubiorem włościan, ale prawie ubiorem używanym przez mieszczan małych naszych miasteczek. Składa on się ze sukni zwierzchniej granatowej tak zwanej: kapoty, różniącój się nazwą i krojem od tak zwanych sukman i karazyj krakowskich, bo kapota ta, jest dłuższa, z wyższym kołnierzem, z przodu nie pojedynczo, ale podwójnie się zapinająca i to na guziki lub

pętlice, a od stanu nie gładka, ale we fałdy ułożona. Pod tą kapotą noszą tejże barwy tak zwany kaftan niedochodzący do kolan a przypominający swoim krojem, dawne żupany polskie. Używają koszul z kołnierzem wywiniętym, któren spina koralowa spinka, lub obwiązuje kolorowa chustka. Spodnie mają w czerwone najczęściej paski w buty wpuszczane, a kapelusze jak nasze, tylko z wysoką główką, obwiedzioną szeroką aksamitną wstążką zakończoną frandzlami; za tę wstążkę młode chłopaki wkładają robione kwiatki ze świecidełkami, i tém stroją swoje kapelusze. Wreszcie używają pasów skórzanych, szerokich na cztery do sześciu cali, opasując niemi swoje kaftany.

Pomnąc, że tylko mieszczanom w Polsce na żupanach pasy nosić wolno było, gdy ich kaftany uważać będziemy za dawne żupany, wtedy tém więcej





Kiiak z Podgórzem.



Kiuczka z Podgórze.

ci włościanie przedstawiają nam dawnych mieszczan.

Ogrodniczki pozostały wierniejsze dawniejszemu swojemu ubiorowi i z niewielką różnicą ubierają się jak włościanki. Noszą na głowach, jak Krakowianki, białe chustki przyozdobione białym haftem, kolorowe, fałdziste spodnice i białe także haftowane fartuchy. Gorsety trochę dłuższe, mają najczęściej z adamaszku lub innéj materyi a zakończone od dołu mnóstwem fałdów, które one organkami zowią. Zarzucają na szyję duże kolorowe chustki, przez nich nazwane Derowe, w czém je już naśladują wieśniaczki tak z Podgórze jak i z okoła Mogiły. Ozdabiają szyję dużemi koralami, a ręce pierścionkami, między któremi ma pierwszeństwo srebrny z korałem. Wreszcie nie używają butów ale trzewików z wysokimi korkami.

Kijaków ubiór także jest podobnym do małomieszczańskiego, bo chociaż

noszą oni zwierzchnią suknię podobną z kroju do chłopskich sukman, ale ta est nieco dłuższa i fałdzistsza. Kolor éj sukni, którą oni zwią także kapotą, jest granatowy jak ogrodników, lub z białego sukna, ale obszyta sznurkami i kutasikami amarantowemi. Te ich kapoty podszyte są czerwonym sukniem widzianém w kołnierzu i na małych kłapkach. Pod temi kapotami noszą także kaftany, ale z białego sukna z zielonemi wyłogami, zapinane na jeden rząd guzików, których jest nie mała liczba. Okrągła czapka aksamitna wysoka, wysoko siwym barankiem obłożona i pas zielony lub czerwony, którym się na kapocie opasują, nadają im minę dawnego szlachcica. Kijaczki ubiérają się prawie jak ogrodniczki, tylko lubią nosić w jaskrawych kolorach z kałamajki lub kamlotu spodnice, fartuchy daleko krótsze i nie trzewiki, tylko buty na wysokich korkach. Głównie zas odróżniają się

od innych włościanek t_ę, iż zwykle w lecie przywdziwiają sukmanki granatowe-czerwono podbite, a w zimie krótkie zgrabne kożuszki.

Skawiniaki już swoim ubiorem zbliżają się więcej do włościan. Noszą oni podobne kapoty jak Kijaki, tylko w jaśniejszym granatowym kolorze, i kaftowany zwykle zielonego koloru; ale już ich czapki są niższe i wązkim barankiem obłożone, i nieopasują się pasami. Włościanki od Skawiny, różniły się dawniej od innych ubraniem głowy. Nosiły czepki przyozdobione kolorowemi wstążkami, a przewiązane na czole białym rańtuszkim, którego końce na plecy spadały; lecz dziś mało tak się ubiera, i wiążą głowy jak Kijaczki chustkami, jale ponajwiększej części kolorowemi. Gorsety noszą krótsze od Ogrodniczek i Kijaczek, najczęściej z jasnego granatowego sukna, a spodnice od dołu obszywają kilka razy kolorową taśmą i okrywają

się białym płóciennym tak zwanym rańtuchem, mającym podobieństwo do szalów.

Najprawdziwszy strój wiejski Krakowski, można widzieć około: Proszowic, Wiślicy, Szkalmierza, Wodzisławia i Miechowa. Czerwona czapka, niska, czworograniasta z wąskim barankiem, jest powszechną główną oznaką Krakowiaka.

Ubiór włościan z okolic Proszowic jest: koszula biała płócienna z niskim kołnierzem, tasiemką kolorową związanym. Spodnie skórzane w buty. Na spodniach fartuch biały po kolana. Przepasuje ich pas wąski z białej skóry ćwieczkami mosiężnymi nabijany, skórka zieloną lub czerwoną gzygzakowana, na przodzie wiszącymi kółkami mosiężnymi przyozdobiony, u którego w pochewce wisi kozik (nożyk) i krzesiwko na rzemyku, a w kalitce przechowuje się krzemień i hubka. Pas ten na sprzączkę spięty a koniec jego od spięcia



Proszowiak.



Proszowianka.

do kolan spuszczoney. Sukmana z sukna białego czarnym sznurkiem na przodzie i po bokach obszyta, haftkami do zapięcia obłożona, do kolan sięgająca, z kołnierzem krótkim obszytym czarnym sznurkiem, wyłogi u mankietów odkładane. Buty z cholewami, za którą fajeczka gliniana z krótkim cybuszkiem, a u tych butów pedkówki na cał lub więcej wysokie od obcasa po obu stronach ostro nieco zakończone. W zimie noszą kożuch białe z tyłu i po bokach kolorową skórka, w różne serduszka przeszywany i kutasikami skórkowemi ozdobiony.

Kobięty z okolic Proszowic, noszą koszulkę białą, krótką po biodra, na ramionach czarnym lub amarantowym jedwabiem gzygzakowaną, spodniczki niezbyt krótkie, płócienne lub kałamajkowe (gatunek kamlotu) w żółtym lub zielonkowatym kolorze. Gorsciki dość małe, z tyłu z wałeczkiem kolorów jasnych z materyi lub kamlo-

tu. Szarfą z frandzelkami nakształt szalika kolorową, wełnianą, opasują się tak, iż koszulkę wraz z spodnicą razem obejmują i utwierdzają, co nadaje całość ich ubiorowi i zgrabnie wygląda. Fartuszki noszą sycowe w paski lub kwiateczki kolorowe. Trzewików nie znają, lecz w miejsce ich używają butów z cholewami i nakształt korka obcasikiem, małą podkuweczką opatrzonym. Mężatki noszą czepce gładkie, blaszkowane, które rańtuszkciem białym na końcach wyszywanym nad czołem przewiązują, spuszczać w tył dwa jego końce. Szyję stroją koralami lub paciorkami szklanemi w różnych kolorach przy których wisi medalik lub krzyżyk. Na taką odzież przywdziewają sukmankę męską białą lub granatową.

Ubiór ich dziewcząt jest w tem odmienny, iż okrywają się białym płóciennym rańtuchem z wyszywanym krajem. Na głowie zaś włosy splata-



Od Szalmierza.



Szkalmierzak.

jąc w warkoczyki, układają w małe kółka, przeplatając je świecidełkami różnego koloru lub kwiatami, mocując to wstążkami jasnych kolorów i opuszczając końce na plecy.

Ubiór wieśniaków od Szkalmierza różni się tylko tém od wieśniaków z pod Proszowic, iż ci na swoje Sukmany nie używają białego lecz w kawowym kolorze sukna, i noszą przy nich w jednych wsiach tego samego koloru kołnierze na plecy spadające; a w drugich z białego, różnemi jedwabiami w gzygzaki wyszyte, i pasy na wierzchu tych sukman. Sukno to kawowe znane już za czasów Zygmuntofskich karazyą, i ztąd sukmany Szkalmierzaków dostały nazwę Karazyi. Ubiór wieśniaczek od Szkalmierza, jest prawie ten sam, co Proszowianek.

Kończąc opis ubiorów włościan z okolic Krakowa, winieniem nadmienić że tylko jedni Szkalmierzanie mają przy swych karazyach kołnierze po-

wyżej opisane. Włóścianie zaś noszący granatowe sukmany, takowych nie przywdziewają, i tylko niekiedy, stroją ich w te kołnierze Panowie, u których służą za fornali.

Pozostają nam jeszcze Górale, których krótka koszula jest bez kołnierza, mosiężną spinką zapięta, a w lecie i w zimie jedynie ich piersi okrywająca. Spodnie z białego sukna opięte, kroju węgierskiego. To oboje spaja w jednych stronach pasek wąski, rzemienny, a w drugich pas szeroki z czerwonej skóry od bioder aż do piersi, mosiężnymi sprzączkami zapięty. Na to wszystko zawdziwiają tak zwaną gunię sukienną koloru kafowego. a którą w lecie zarzucają na jedno ramię. Butów nie używają, tylko tak zwane krypcie z grubiej skóry, związane tylko tasiemkami. Moźniejsi jednak a szczególnie od Żywca, używają jeszcze oprócz tego kaftanów ponsowych lub niebieskich z żeberkami szy-

Ze zbioru

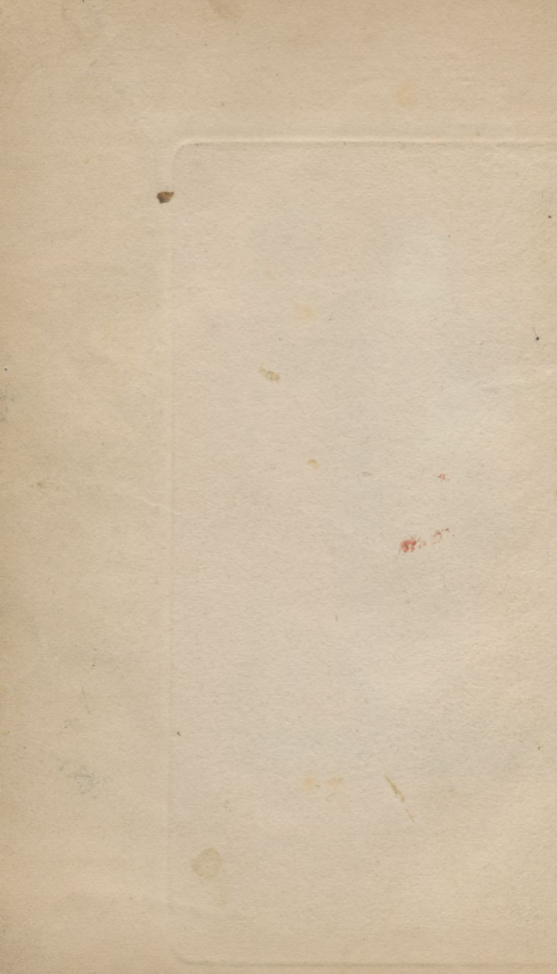
ADAMA KAJZEGO



Géral .



Göralka.



chowemi i guzami kształtu kulek gęsto nasadzonych, a butów węgierskich na święta i fety.

Taki ubiór, w harmonii z szerokim czarnym kapeluszem, galonkiem lub wstęgą opasanym, i na jedno ucho nasadzonym, dobrze ich ubiera. Goralki mają włosy w tyle na dwie strony w kosy rozdzielone, łańcuszkiem cynowym albo sznurkiem srebrnym obwite, z dwóch stron głowę opasując, łączą się na czole kokardą z wstążek upiętą. Potem idzie koszula biała z wyszyciem kolorowem na ramionach, te przypasują spodniczką krótką ale fałdzistą i fartuszkiem kolorowym. To łączą gorsetem; ten u zamożniejszych bywa adamaszkowy, parterowy, a najczęściej z aksamitu lub manszestru karmazynowego, białym galonkiem obszywany. Na to wszystko przywdziany przeźroczysty rańtuszek na głowie upięty i aż niżej kolan spuszczone, kończy ich ubiór. W zimie, tak zamężne

kobięty, jak i dziewczki dorosłe, szczególnie od Żywca, noszą z ponsowego sukna szubki niżej kolan sięgające, białemi barankami podszyte i obłożone, przy tém sznurki i potrzeby świecące. Ale ten strój służy na wystąpienia świąteczne lub weselne.

Zapoznawszy się tak z włościanami z okolic Krakowa, teraz pierwszą myśl, pierwszą uwagę zwróćmy na ich Religiją, ten najpotrzebniejszy i najdroższy skarb człowieka.

Od porzucenia bałwochwalstwa, uszczęśliwia tych włościan Religia Rzym-sko-katolicka, której będąc wyznawcami, wierzą w co wierzyć nakazuje i wypełniają święte jęj przykazania.

A chociaż były, a szczególnie w odległej przeszłości te nieszczęsne czasy, w których wśród srogości podniesionego buntu porzucali wiarę świętą, jako potępiającą popełniane przez nich gwałty a nakazującą kochać bliźnich a nawet nieprzyjaciół, to w krótkce zno-

wu w chwilach upamiętania z skruchą i żalem wracali na jęj macierzyste łono.

Tego przywiązania ich do ojców wiary, mamy najlepszy w tém dowód, iż wiernými jęj pozostali i w tych czasach, kiedy protestantyzmu nauki wolno głoszone po kraju, w licznych dworach obłąkały panów.

Oni to pierwsi wtedy instynktowo, że tak powiem, uważali, że Religia jest strażnicą narodowości każdego kraju, i ztąd to włościanie Krakowscy różnowierców zawsze za obcych mieli.

Zbawiennemu wpływowi Religii przyznać należy, iż włościanie z okolic Krakowa, pomimo ciemnoty ogarniającej jeszcze ich umysły, są ludźmi dość moralnie się prowadzącymi, rzadko hańbiącymi się zabójstwem. Niepamiętném jest, zwłaszcza pomiędzy tak zwanymi Ogrodnikami, aby który z nich popełnił morderstwo, a do szczególnych i wiekowych prawie wy-

padków, należy, popelnienie innych większych zbrodni. A chociaż zarzuć można, a szczególnie Proszowiakom i Szkalmirzakom, że kradzież jest u nich prawie grzechem powszechnym, to także powiedzieć i to trzeba, i do popelnienia jęj, wiedzie ich nędza, a często brak pojęć moralnych, i popelniając ten grzech, nie uważają go być grzechem.

Probierzem wpływu na nich religii i ich usposobienia moralnego było tak łatwo a powszechnie zaprowadzone w roku 1844, Towarzystwo wstrzeźliwości, które nawet nałogowych pijaków wstrzymało od używania wódki.

Chwalać z tego względu włościan z okolic Krakowa a szczególnie Gorali, i okazując, że wszystko dałoby się zrobić, używszy wpływu jaki na nich religia wywiéra, nie mogę nie wynurzyć żalu iż dziś ustaje działalność towarzystwa wstrzeźliwości.— Niewywodzę za to słusznych skarg na

tych, co z obojętności lub interesu są tego powodem, lecz przypominam, że znowu kiedyś sami sobie będziemy musieli przypisać winę, i odpokutować, że silniej nie użyliśmy tego środka aby wyrwać włościan z pijaństwa uzwierzęcającego człowieka.

Wszyscy włościanie z okolic Krakowa wypełniają ściśle przepisy religijne pod względem nabożeństw, spowiedzi i postów. Górale nie opuszczają żadnego odpustu, na który idą i o kilkanaście mil, jak oni zowią pod przewodnictwem chorągwi, śpiewając pobożne pieśni. Szkalmierzanie i Proszowianie poprzestają na odpustach w sąsiednich wioskach. Wspomnieć należy jeszcze, że tak zwani Ogrodnicy zapełniają kościoły Krakowa podczas odpustów, a na processyach Bożego Ciała, jako należący do różnych bractw kościelnych, przywdziewają tychże różnobarwne kapy, i jedni niosą chorągwie, drudzy postępują z zapalo-

nemi świecami. Córki zaś ich przybrane w świąteczne suknie, niesą feretrony, uważając to za nie mały zaszczyt.

Aby poznać włościan, trzeba poznać ich władze umysłowe i tychże wpływ wzajemny na siebie. W tém poznaniu największą jest trudnością zawyrokować o ich rozumie, bo rozumu uieoświeconego człowieka naukami tak niewidać jak księżycy, dopóki słońce go nieoświeci. Gdy zaś nauki dotychczas nieoświeciły rozumu tych włościan, przeto jest jak księżyc prawie niewidzialnym. Głównych więc przymiotów rozumu, nierozpoznasz u nich, ani zbadasz, czyli on jest przewodnikiem ich umysłów i serc i zdawać ci się będzie że oni mają tylko rozsądek.

Lecz ten ich rozsądek wydaje trafny sąd o wszystkiém bez rozumowań, wolnym jest od złudzeń w jakie często popadany przez mylność i subtelność tychże rozumowań i darzy ich jedną z najgłówniejszych korzyści na-

szego wychowania; bo i bez niego wiedzą, co można mówić, a co zamilczeć.

Ale temu ich rozsądkowi brakuje tej przezorności oględnej na przyszłość, co w rzeczach wielu jest widoczném, a szczególnie w lekceważeniu zapracowanych pieniędzy.

Lubo w tém, jak we wszystkiém są wyjątki, bo niektórzy, jak na swój stan mają dość znaczne pieniądze, a takich znajdziesz najwięcej między Kijakami, Ogrodnikami i Góralami. O tych mówi: to mądry jak żyd! i dla takich mędrców nie mają poważania, biorąc tę przezorność za skąpstwo, które, w jakiej pogardzie mają, najlepiej okazują słowa powiedziane przez jednego z tych włościan: i człekby miał pieniądze, kiejbym tylko przestał być człowiekiem.

Dowcip, ten jeden z rzadszych darów natury, nie łatwo tu znajdujem w mężczyznach częściej w kobietach. Mają one naturalny dowcip nasz rodzin-

ny, a nie ten zagraniczny naszych salonów. Zaleca on się wesołością życzliwą, a nie zjadliwością, ma on swoje świętości, których się nie tyka, ani w żart obraca. Stąd téż w zejściu się mężczyzn nawet w karczmie i przy kieliszku, nieusłyszysz śmiechów wywoływanych zwykle dowcipem i dopóty oni prowadzą rozmowę poważnie, dopóki nie zawitają do nich kobiety. Ich przybycie ożywia zgromadzenie bawiącemi dowcipkami, wesołemi żartami, pociesznemi rozmowy i wtedy to dopiero przedstawiają się włościanie krakowscy z tą wrodzoną im wesołością, która ich nigdy nieopuszcza, jak to sami śpiewają:

Niech się co chce dzieje,
Krakowiak się śmieje.

Jakoż w istocie, gdy ich Bóg jakim nieszczęściem nawiedzi, wtedy w pierwszych tylko chwilach z całym zapalem ognistój duszy i płaczą i lamem-

tuja. Lecz później powiedziawszy sobie jedno z tych licznych pocieszających zdań, co stały się ich przysłowiami, np. Taka była wola nieba; z nią się człeku zgadzać trzeba—nie rozpaczają, nie narzekają; ale znoszą zesłane nieszczęście z prawdziwą powolnością i cierpliwością chrześcijańską. Ten hart, jaki ich duszom nadaje wiara, połączony z tą podziwianą wytrwalością na trudy, znoje, z tym, że tak powiem, stępieiałym u nich systemem nerwowym do tego stopnia, że najmocniejsze zranienia za nic mają; z tą nakoniec skłonnością do uniesień, właściwą wszystkim Polakom, to wszystko czyni włościan krakowskich zuchwałymi, bitnymi, odważnymi, aż do zuchwalstwa, nieznającego niebezpieczeństw.

Z kłótni, w moment przechodzą do bitki, a tę dość widzieć, aby powziąć świadectwo o prawdzie powyższego zdania. Pięść ich silnej ręki, nie jest

dostateczna w takim razie, ale zaraz czy to z wyrwanym kołkiem z płotu, czy z wziętym podkółkiem z wozu, występują jak dawni rycerze zbrojni maczugami i zwodzą niemi bitkę, w porównaniu którój, pojedynki naszych honorowych ludzi, są igraszką dzieci.

W takich walkach odznaczają się: Proszowianie, Skalmierzanie; włościanie z okolic Mogiły. Kijacy i Ogrodnicy, mniej są do nich skłonni; Górale nieskorzy są do bitki, a w przypadku tejże, na pięści zwykle przestają. Równa zwinność, przytomność walczących, jest powodem, iż najczęściej kończą się te walki tylko na guzach, mocném stłuczeniu i ranach; ale wydarzają się i smutne wypadki, że zostają kalékami, nabawiają się chorób, a niekiedy i życiem opłacają te chwile swych uniesień i porywczosci.

Niemożna tutaj przemilczć, że często z narażeniem na podobne wypadki, albo matka, albo żona, lub kochan-

ka, rzuca się między walczących, chcąc wstrzymać zapaśników, bo to daje poznać i uczucia i odwagę tych Krakowianek.

Lecz pomimo tego wieśniaczki krakowskie, nie należą do kłótliwych kobiet i rzadko z kłótni przechodzą do bitki. Jedynie Kijaczki i Ogrodniczki, zarażają się tą wadą na targach krakowskich, która je czyni pod tym względem zupełnie podobnymi do słynnych z tego przekupek krakowskich. Jak te, tak i one, już to jedna na drugą, już to na kupujące służące, za lada fraszkę rozpoczynają, te, tak przez nie zwane gębowanie. Wtedy usłyszysz nieznanne ci wyrazy, porównania, przysłowia, dowiesz się całej gorszącej bijografii przeciwniczek, a często, kiedy już jedna drugiej, jak to one mówią, do-żywego dokuczy, to zobaczysz i bitkę, z której wychodzą walczące podrapane, z podartemi sukniemi, z rozczochranemi włosami. A gdy każda ko-

bięta, choćby najpiękniejsza, w gniewie i złości, jest odrażająca, to takie zapasnice, mogłyby posłużyć malarzowi za wzór jędz piekielnych.

To uniesienie się w gniewie włościan krakowskich, niewyradza się u nich w ową nienawiść, co się jadzi w sercach innych ludów przez długie lata; ale po przejściu pierwszych uniesień, już nie są zdolni do zemsty, i to znów jest jedną z ogólnych cech, iż Krakowiaki nie są wyrodnymi dziećmi Słowiańszczyzny.

Skoczyć w wodę, wpaść w ogień, rzucić się na rozbiegłe konie, aby ocalić bliźniemu życie, dość liczne dowody tych poświęceń złożyli wieśniacy krakowscy. Lecz nietylko w tych zdarzeniach, w których nagłość ratunku niedaje czasu rozwadze powstrzymać pierwszych uniesień serca, wykonywają oni podobne czyny, ale są zdolni do ich wykonania i wtedy, kiedy zimny rozum zapal ostudzi.

Dowódcy wojskowi chlubne świadectwo dają włościanom krakowskim z ich służby żołnierskiej, wyłączając jednak Górali, których natura lękliwemi uczyniła. Krakowiacy ledwo mundur wdziają, a już mają postawę żołnierza i z łatwością uczą się obrotów i robienia bronią. Dobra z nich piechota, doskonała jazda, jak dali tego dowody w późniejszych czasach, bo za dawniejszych czasów polskich, po większej części pieszo służyli.

Na wojnie mężni, cierpliwi, na głód wytrwali, znoszą wszystkie trudy wojenne bez narzekania. Lecz, aby dostać pożywienia, używają wszelkich sposobów, narażają się na wszystko. Pragnienie trudniej od innych włościan znoszą; jak o tém przekonano się w czasie wojen napoleońskich w Kalabryi w Egipcie.

Przed rozpoczęciem bitwy, włościanie krakowscy są ponurzej powagi, nie prowadzą głośniejszych rozmowy z sobą, ale cichą z Bogiem, modląc się; lecz po-

krzepiwszy modlitwą swego ducha, znów są takimi, jakimi byli. Okazać się bojaźliwym, jest u nich stać się celem ciągłych żartów; nawet popełnione przestępstwo łatwiej niżeli tak zwane tchórzostwo, zyskuje u nich przebaczenie. Chrzczą oni takiego jakąś nazwą, która mu na zawsze zostaje, jak np.: na jednego wołano ciągle „ze złości“ ztąd, iż w pierwszej bitwie, w której się znajdował, posłyszawszy huk armat, zbladł, a zapytany, czego tak blady, niechcąc się przyznać do bojaźni odpowiedział: „ze złości, panie poruczniku.“

Tchórz nietylko bywał celem żartów ale i nienawiści, uważali go za robiącego wstyd całemu półkowi, o którego sławę, jak dbały pułki złożone z Krakowiaków, naucza następane zdarzenie: Po pewnej krwawej bitwie, powiedział *jeden żołnierz*. Przypadło na mnie jakieś paskudne choróbsko, żem cały drżał i ledwiem nie drapnął; każ mię

pan Półkownik rozstrzelać, bo to wolę pierwój, jak potém kiedy zrobię wstyd naszym, bo ja nie przemogę siebie i umknę.“

Żywość i porywczosć ich natury, jest powodem, iż wolą iść na bagnety, zdobywać baterye, aniżeli odstrzeliwać się nieprzyjacielowi, lub stać w asekuracyi armat. W bagnecie lub łańcy więszą mają ufność, aniżeli w palnej broni. Nierozumują oni, ale słuchają i wypełniają rozkazy dowódców, których „starszyzną“ zowią; ale będąc baczni na wszystko co się dzieje, udzielają im częstokroć trafnych spostrzeżeń.

W dziejach obcych wojen, możnaby czerpać mnogie świadectwa, wykazujące, jak w wielu bitwach odznaczyły się pułki złożone z włościan krakowskich. Lecz sądzę, że jedno wspomnienie bitwy Raclawickiej w r. 1794, będzie wystarczającym i najwłaściwszym, bo nie żołnierze z krakowskiego, ale włościanie krakowscy, zebrani przed kilku

dniami w gromadę, uderzają na baterye, zabierają armaty, i zwyczajnym swoim okrzykiem: „Górami nasi“ ogłaszają to zwycięstwo.

Po dokonaniu najodważniejszego czynu, gdzie jak mówią: diable ciepło było, są tak skromni, jak gdyby rzecz zwyczajną zrobili. Stąd też od starych krakowskich wojaków nie usłyszysz o takich czynach, a jeżeli sam wiedząc o nich wspomnisz im, to najczęściej usłyszysz tłómaczących swe milczenie tém: „Zabaczyło się to już.“

Przeciwnie robią Górale. Są to samochwalcy, którzy okłamią wymyślonemi przez siebie dziełami swój waleczności i odwagi.

Wśród największego niebezpieczeństwa, niektórzy jeszcze wyrwą się z jakim żarciem, z jakim figlem, a wszyscy je prawie ze śmiechem przyjmują, i tak np. Raz padł granat po przed samym szeregiem. W téj niebezpiecznej chwili przyszła jednemu myśl zrobie-

nia sobie żartu. Oczekuje pęknięcia granatu z wyciągniętą ręką, nad głową pochylonego sąsiada, aby go w nią uderzyć, gdy granat pęknie. Co gdy zrobił, uderzony zawołał: Coś mi się stało! „Granat ci głowę urwał” odpowiedział: Co gadacie wykrzyknęła ofiara jego żartu, chwytając się za głowę. — Z czego serdecznie wszyscy się uśmieli, wśród padających kul i granatów.

Pomimo tych wszystkich usposobień do stanu wojskowego, przekładają nadeń swoje życie wiejskie a nawet tacy, którzy wiedzą, że w chacie rodzinnej czeka ich i ciężka praca i nędza. Ta niechęć do służby wojskowej zaszczerpioną może w nich została, przez naszą przeszłość; w niej bowiem włościanie, spędzeni na pospolite ruszenie jedynie z kijami, czyliż jej powziąć nie mogli, oburzając się, że bez broni mają walczyć z nieprzyjacielem uzbrojonym orężem i ubezpieczonym zbroją. Wprawdzie już za Władysława Jagieł-

ły zbrojono ich i używano jako łuczyw pieszych, ale i to nie mogło pomniejszyć téj niechęci, bo i tu widzieli się upokorzonymi przez przekładanie nad nich piechoty obcej, utrzymywanej u nas w czasie wojen.

Lecz najwłaściwiej może za powód téj niechęci uważać należy wojskową karność, wstrzymującą ich od tych wybryczków, któremi zwykle uprzyjemniają swoje pracowite życie, poddającą ich pod obowiązek ciągłych rozkazów, co uważają za jak uciążliwe, stwierdza to ich uzalania się nad losem żołnierza, że zawsze słuchać musi, co psia skóra każe. Zresztą stan wojskowy nie jest dla nich ponętny, ani stąd żeby z niego spodziewali się jakiej korzyści, ani żeby podobnej korzyści pragnęli. Dla tego jeden z włościan namawiany na zastępcę, powiedział: „Nie chcę ja tam takiego zarobku; djabełby się ucieszył mój paniczu, kiejby się dowiedział, że człek życie sprzedał.“

Powtórzyłem tę odpowiedź, bo ona pięknie także rzuca światło na naszą przeszłość, wyjaśniając nam, że dla tego Polacy przy swoim żołnierskiem usposobieniu, nie najmowali się, jak inne ludy do obcej służby, bo niechcieli handlować życiem!

Zbadajmy o ile serca włościan krakowskich przejęte są miłością kraju, tém świętym uczuciem, z którym tak rodzi się człowiek, jak z uczuciem miłości Boga. — Miłość Boga wzrasta pod wpływem religii i oświaty, a miłość kraju bez tego światła, zostaje ciągle w kolebce i obejmuje swém uczuciem rodzinę i miejsce urodzenia, a nie jest w stanie wznieść się do téj szczytnéj potęgi, aby niém objąć wszystkich współrodaków i cały kraj rodzinny. Takiem wzniosłym uczuciem nieistniejącém między włościanami krakowskiemi, jako sięgającemi myślą mało co dalej nad zakres osobisty, za-

szczyła ich tylko imaginacya poetów i złudzenia marzycieli.

Aby miłować matkę i braci, trzeba przedewszystkiém wiedzieć, że się ma lub miało tę matkę i braci. Włóścianie zaś nasi, że nigdy o tém niewiedzieli, dość powiedzieć, iż ich podania i pieśni nieprzechowały żadnych takich wspomnień. Podobni oni pod tym względem są do tego podrzutka, który niewie wśród swój niewinności, że każdy ma matkę, kto żyje, który nie zna jój, a swych własnych braci w swém sieroctwie uważa za panów, a zwie Polakami. Lecz jak nietylko ci są dobrymi katolikami, którzy pojęli tej religii święte tajemnice, ale i ci, którzy bez tego pojęcia z wiarą w sercu wypełniają jój przykazania i cnoty, tak też i włóścianom krakowskim zamiłowanie rodziny i miejsca rodzinnego są wystarczającemi, aby w ich sercach miłość kraju miała swoją świątynię. Na jój ołtarzu składają oni w ciągłej ofie-

rze to mienie lepsze, aby tylko nie porzucić lub wrócić w rodzime miejsca, to tęsknotę, gdy je opuszczają. Zagroda domowa, pobliski kościółek i cmentarz praocjów, jest im całym światem. Życie na własnej ziemi i spocząć na cmentarzu wioski swojej, to jedyne pragnienie, to żądza nie dająca się zastąpić żadnym innym mamidłem.

Te wzniosłe i szlachetne uczucia, najsilniej ożywiają serca Górali. Nic prawie niezdolna stłumić w nich namiętnego pociągu do swych rodzin, do gór rodzinnych. Bo też niezapomnianą jest tych gór piękność i taką pięknością niezachwycą ich nigdzie płaszczyzny. Ale włościanom z płaszczyzn przeniesionym na inne płaszczyzny, ta przemiana niepowinnaby być udręczającą; tymczasem włościanina z okolic Krakowa, nie łatwo nakłonić, aby porzucił rodzinne strony. Niewystarczającym jest dla nich pędzić życie nawet w tak zwanych przez nich ograniczonych wioskach,

ale tęsknią do wsi rodzinnej, a w niej znów z żalem przenoszą się z pod ojcowskiej strzechy do innej chaty. O nich to można powiedzieć, że prawie dosłownie trzymają się nauki polskiego przysłowia: „Wszędzie dobrze, a najlepiej w domu.“

Odznaczają się takim uczuciem szczególnie włościanie z pod Mogiły. Żeby przekonać się o prawdzie powyższej, dość przejrzeć akta procesów i rad familijnych, byłego Sądu Pokoju tego okręgu; w nich się bowiem doczytasz, jakie ofiary ponosili, jakich nawet podstępów się dopuszczali, żeby tylko nie opuścić rodzinnej strzechy. Jako najlepszy dowód tego przywiązania, przytaczam następane zdarzenie: We wsi Krzesławicach, wdowa po zagrodniku, odstąpiła swemu synowi chałupę, którą w posagu mężowi wniosła, wymówiwszy tylko w niej mieszkanie i utrzymanie dla siebie. Syn umiera, synowa idzie za męża, a biedna wdowa została w cha-

cie, jak ów sprzęt niepotrzebny, którym każdy potrąca. Widząc ten smutny los jęj córka a żona zamożnego kmiecia, chce ją wziąć do siebie i pielęgnować jęj starość z tkliwością i miłością córki. — Po długich namowach i namysłach, po długiej walce między przywiązaniem do córki a przywiązaniem do rodzinnej strzechy; to drugie otrzymuje zwycięstwo, a córka jakby w nagrodę przywiązania swego, usłyszała wtedy z ust biędnej matki te słowa: „Adyc i ciebie, moja kochaneczko, w tej chałupie urodziłam.“

Któż w tém przywiązaniu do miejsc rodzinnych niedopatrzy, iż to zostało im po przodkach słowianach, których chlubną cechą odróżniającą ich od innych ludów, była ta cnota.

Pisząc o włościanach polskich, trzeba wspomnieć o pańszczyźnie, która przez tyle wieków wywierała znakomity wpływ na ich charakter i losy.

Nie tu miejsce przywozić history-

Ze zbioru

ADAMA KAJZEGO

czne udowodnienia, że pierwiastkowo włościanie nasi tak pod względem swobody, jak mienia byli szczęśliwsiymi od wielu zagranicznych włościan, że ich strzegły od gwałtów i nadużyć nietylko przepisy krajowe ale i klątwy kościelne.

Nie tu miejsce wdawać się w wywody, skąd i czyli nie dla dogodności ich za ostatnich Jagiellończyków zmieniono płacony czynsz przez włościan, na odrabianie pańszczyzny i skąd ta pańszczyzna czyli słusznie lub niesłusznie wyrosła w następnych czasach z jednego dnia roboczego do dwóch, trzech a nawet czterech dni przy opłacie czynszów, składaniu danin. Nie tu miejsce powtarzam, jeszcze raz nad tém się rozwodzić, bo niepiszę historyi pańszczyzny, ale jój wpływ na tych włościan; powiem więc tylko, że przez zaprowadzenie pańszczyzny, włościanie pozbawieni użycia czasu i sił własnych podług swój woli, i stawszy się przy-

musowemi wyrobnikami, skalali się najprzód temi wadami, jakie przymus i podobne stosunki rodzą, to jest, niechęcią do pracy, a w pracy lenistwem.

Praca jednak taka choć mało wartająca, nietylko wystarczającą była, ale częstokroć nawet zużyta nie zostawała dopoki po staropolsku gospodarowaliśmy poprzestając na zbiorze zboża. W tym stanie rzeczy i właściciele i włościanie nawzajem z siebie kontenci byli. A gdy jeszcze właściciele darząc włościan w każdym zdarzeniu wsparciem jednali sobie ich przychylność, do której dołączali i poszanowanie, bo dwór był dla nich szkołą religijnego i moralnego życia.

Lecz wszystko to zmienił koniec przeszłego stolecia.— Niereligijność i niemoralność przywędrowały do nas z zagranicy i wcisnęły się do większej liczby dworów.— Włościanie słysząc to bezbożne, to gorszące mowy, widząc, to lekceważenie religii, to roz-

wiązłe życie, niemogli dla właścicieli zatrzymać dawnego poszanowania, bo to cnoty rodzą i pielęgnują.

Lecz jak zwykle na świecie sądzili i potępiali innych, ale sami pomimo tego nieokryli serc swych zbroją nie-dozwalającą zgorszeniu wcisnąć w nie jadu zepsucia, i niestety dostał się on w ich serca.

Wśród téj ogólnej zarazy panującej niemal we wszystkich wioskach w okóło Krakowa, dla ukarania i nawrócenia, nawiedził Bóg te wioski szeregiem klęsk rozpoczętych konfederacją Barską, a ciągnących się z małemi przerwami aż do roku 1815.

Po wycierpianych nieszczęściach właściciele wiosek zaczęli myśleć o ulepszeniu gospodarstwa, co wymagało prawie w trójnasób więcej robotników, aniżeli, gdy po dawnemu gospodarowano. W téj potrzebie wstrzymali się właściciele od poprzedniego marnotrawienia pańszczyzny i wymagali od

włóścian aby odrabiali, co powinni a odrabiali pracowiciej. — Niepodobalo się to włóścianom nawykłym próżnować za pańszczyznę a nie pracować, i uważali siebie za ofiary ucisku, a właściciela za swego tyrana. Przyczynialo się do tego i pijaństwo włóścian, które wzmogło się z pomnożeniem browarów, dawaniem wódki na odrobek, a co najgorsze płaceniu ich pracy kwitkami wypłacalnemi w karczmach. A chociaż dwór właściciela był i jest dla nich ucieczką w nieszczęściach i w niém odbierali w nędzy wsparcie, w chorobach radę i leki; chociaż w miejscach wielu dokładano wszelkich starań, aby pozyskać ich przychylnosc, a nawet łudzono się jej pozyskaniem, jednak najczęściej się przekonano, że umieli tylko łudzić swą powierzchowną potulnością i serdecznością. Że takimi byli, to już nie ich wina, ale najprzód natury, że wlała w nich krew gorętsza, czy-

niącą żywszém każde uczucie, a następnie, wychowanie, że niewzniosło ich na ten szczyt nauki chrześcijańskiej, na którym człowiek uzbrojony cierpliwością, dobrem nawet złe wypłaca.

O ile smutny ten stan zmienił się w tych włościach otaczających Kraków. w których zniesiono pańszczyznę, powiem w krótkości.

Włościanie ci uwolnieni od prac pańszczyznianych, wzięli to uwolnienie za patent swobody na próżnowanie i za patent na zdzierstwo za swoją pracę. Zwykły obraz, jaki tworzy wszędzie ludzka społeczność w swoim podziale na stany przemalowanym został w tych wioskach, ale tak, że przedstawia nam karykatury wywołujące śmiech politowania.— Na dawnym obrazie widziałeś, jak orał na polach płóg kmiecia kierowany przez jego syna, i jak syn biednej komornicy, siał na nich zboże i jak obaj spoglądali na siebie zwrokiem równości braterskiej

bo jedność obowiązku pracy i wspólny los, równoważyły nierówność ich majątkową i strzegły ich od odróżnień socyalnych będących żywiołem rozdwojeń zgubnych dla każdego towarzystwa. Na przemalowanym zaś obrazie zobaczysz, jak w braku téj równowagi, chwieje się dziś jeszcze wszystko, i jak wśród tego chwiania, włościanie ci, dostali zawrotu w głowach takiego że mało który na właściwém stanowisku utrzymać się może.

Smutny to obraz, a tém smutniejszy, że nam przypomina niejako dawną Polskę. Kmiecie na tym obrazie, to nasze magnaty, zagrodnicy, to szlachta, reszta ludności, to dawni włościanie, a mieszczan tak tu niema, jak nie było ich w Polsce, gdy wyginęli za czasów wolnej elekcji królów.

Kmieć to brat szlachcic zagrodnika, ale przy kieliszku i w potrzebie, potem uważa go tak, jak dawniej magnat szlachcica za nierównego sobie.

Przedtém wykrzykiwano: szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, choć tak niebyło, tak dziś wołają: ja tak gospodarz, jak on, ale kmiecie mają się za coś więcej, bo mają więcej.

Lecz to odróżnienie się między kmieciami a zagrodnikami nie jest tak wielkie i tak rażące, jak między tymi, a komornikami bezgruntowymi; bo kmieciom i zagrodnikom zdaje się, że ci biédacy są ich poddanymi, a oni są toż samo, co dawni Panowie i widzą w nich tych grabierzców czyhających na cudzą własność, a chrzczonych w cywilizowanym świecie imieniem socyjalistów, z którymi trzebaby tylko podzielić się własnością, aby nimi być przestali.

Zmiana losu zmieniająca role ludzi na scenie świata, dała i tym włościom nowe role do odegrania, i odgrywają role spanoszonych. Lecz przy ich nieusposobieniu do tego przedsta-

wiają oni wprawdzie spanoszonych, ale takich, którzy nie umieją korzystać z niespodzianego daru fortuny. Owładnęła ich umysły zarozumiałość i tę widać w każdym postępowaniu, w każdej rozmowie. To kalectwo umysłowe litość budzące, pograżyło ich w ślepotę niedozwalającą im dopatrzeć błędów i wad w które popadli, ani użyć wrodzonego rozsądku do rozróżnienia prawdy od fałszu. Stąd każda bajka, czyli z wypadku czyli umyślnie między nich puszczone, choćby najdziwaczniejsza, jeżeli tylko schlebia ich interesowi, staje się dla nich pewnością. Powiedz im, że lasy do nich należeć mają, a już na nie jak na swoją własność spoglądać będą i marzyć o wyszukaniu choćby najkrzywszej drogi, mogącej do ich posiadania najprędzej doprowadzić, i tém się więcej zajmą, niżeli staraniem o poprawę terażniejszego losu.

Do wad, jakie posiadali, przybyła

im i wada naśladowania, a raczej lepiej to odda wyraz małpowania panów, ale w czémże takim? oto panów nie widzieli w polu pracujących, otóż i oni wyręczają się w tém o ile mogą najemnikami. Panowie nie żyli z niemi w zażyłości, otóż i oni nie bratają się z utworzonym we wsiach proletoryatem; słowem, co panowie robili, to i oni pragną robić, wyjąwszy, co dobre.

Napróżno też puka do ich chat przemysł, handel i oświata, niewpuszczają ich, bo po co? kiedy od nich nie pragną nic nabyć, postanowiwszy sobie żyć jak żyli. Poprzestając na zaspokojeniu koniecznych potrzeb, nie myślą, ani o przyjemnościach wygodniejszego życia, ani o zbawiennych skutkach, gdyby choć najmniejszy promyk oświaty padł na ich umysły.— Lecz nietylko na to pukanie przemysłu, handlu i oświaty są głuchemi; i ludzka nędza, dla której otwartemi są wrota dworów niemal wszystkich

panów, do ich chat napróżno puka, i nie dziwnego, bo jakże w ich chatach miłosierdzie przebywaćby mogło, kiedy w nich nieludzkość przemieszkiwa. Któż bowiem niewidział a przynajmniej niesłyszał, że biedne sieroty pasące ich trzody przez lato; wyrzucone z ich chat na zimę jako sprzęt już im nie potrzebny, znajdowano zagłodzone albo zmarznięte.

Bolesna to prawda, ale mowmy ją; ona wiedzie najprędzej na drogę upamiętania, na drogę postępu!

Kreślę te spostrzeżenia nie dla tego, żebym był zdania, że pańszczyzna była dobrem a jój zniesienie złem: i owszem, zniesienie pańszczyzny uważam za dobrodziejstwo, którym obdarzono i dawnych panów i dawnych poddanych.

Czas zablizniający najboleśniejsze rany i tu będzie zbawienném lekarstwem, skoro miną pierwsze napady gorączki powstałej po ciężkiej opera-

eyi wyrznięcia z ciała raka, który tak nędznym żywot ich uczynił.

Że tak będzie, rozum udowadnia, rozsądek sądzi, a doświadczenie naucza. Czyliż już tego nie widzimy w wioskach zdawna usamowolnionych, jak np. w zamieszkałych przez Ogrodników? Wieleż tu rodzin pod każdym względem może być wzorem godnym naśladowania dla innych włościan. Zwiedź choć pospiesznie kilka domków w tych włościach a o tem się przekonasz. Domki te wskaże ci, ich staranniejsze zewnętrzne urządzenie i utrzymanie. Zobaczysz w nich już podłogi i piece, na białych ścianach przybite obrazy religijne i zwierciadelko, już stojącą pokostowaną szafę z talerzami i szkłem, łóżko z czystą pościelą, a zobaczysz wszystko to dobrze; bo większe oszklone okna dają światło, a dym go nie zaciemnia, ani gryzie w oczy, jak zwykle w chatach naszych włościan.

Lecz nietylko zobaczysz znikłą dawną ciemnotę w tych domkach', ale i znikłą ciemnotę w umysłach ich mieszkańców. Ujrzysz bowiem już leżącą książkę, już stojący kałamarz, a posłyszysz własne ich zdania, ile zyskali nauczywszy się czytać i pisać i dowiesz się, że wielu z nich po ukończeniu kilku klas gymnazyalnych, pracuje dziś na ojcowskich zagonach. I upewnię cię, że uważają się za szczęśliwszych od tych, co porzuciwszy rodzinną zagrodę zyskali dostatki i znaczenie, a utracili swobodę i niezależność. I przekonasz się o charakterze tych włościan łagodnym i ujmującym, o ich sercu gościnném i miłosierdziu, i o ich objęciu, zktórem choć dopiéro krok zrobili po za swoją dawną ciemnotą, a już zobaczyli czém byli, a czém być powinni. Że takimi będą i inni włościanie z okolic Krakowa niema wątpliwości, bo i w ogóle wszyscy rodzą się z pięknem usposobieniem moralném i z dość sil-

nem, bo chociaż wiele okoliczności wytępiało go, jednak wytępić niezdolało. Dla udowodnienia tego zdania, wiodę cię naprzód na te pastwiska, gdzie ich dzieci różnej płci strzegąc pasącego się bydła, spędzają całe dnie wśród igraszek prawdziwie dziecinnych choć ich strzeże tylko własna niewinność niewystarczająca w naszych miastach do nadzoru przyzwoitości w tych zabawach. Wiodę cię dalej, aby ci okazać nieskalaną ich moralność, tam gdzie pracują razem chłopaki i dziewczuchy, bez téj obawy, jaka gdzie indziej wzbrania takiéj wspólnéj pracy. Wiodę cię do ich karczem i to nawet, gdy wśród zabawy podpiją sobie mężczyźni, a i wtedy ani oczy nie zobaczą, ani uszy nie usłyszą nic takiego, coby przyzwoitość obrażało. Nakoniec wiodę cię do jednéj z uboższych wiosek, kiedy w nieurodzajnym roku na przednowku głodowa śmierć przybędzie w chaty po jéj mieszkańców. W tak rozpa-

czliwym stanie, inny lud targnąłby się na twoją własność, na twoje życie, albo opadłaby cię gromada zgłodniałych i wśród lamentów i prośb zebrałaby o litość i miłosierdzie. Tu nie zagraża ci żadne niebezpieczeństwo, ani usłyszysz wrzaskliwej zebrany i jeżeli twojej litości niewywoła ich twarz znędzniała, albo ich wzrok pełen rozpacz, albo ta matka, albo to dziecko, które kona przy jej piersi wyschłej z pokarmu, wtedy znajdzie się tylko kilku, co zwstętem wyciągniętą ręką zebrać u ciebie będzie ratunku.

Jeżeli więc do tych wsi zawita postępek i zatrzyma moralne i religijne uczucia, a przyniesie oświatę i lepszy byt, wtedy świetna przyszłość może być tego ludu, bo jest w niem życie silne, jest coś szlachetnego, a w każdym razie wytrwałość i męstwo.

Jak niemal wszystkie ludy na świecie, tak i włościanie z okolic Krakowa, mają przesady, gusła, zabobony. Wie-

rzą w czary, upiory, strzygi, duchy, zmory, słowem w cały ten szereg strachów wylęgłych w imaginacyi ludzkiej. Wiara w te strachy nie utrzymuje się przez ich pojawienie, wolni są od tych złudzeń, bo daleką jest od nich wszelka bojaźń, a towarzyszy im zimna rozważa. Ale ta wiara jest puścizną dawnych czasów przechowującą się w opowiadanych gadkach o sprawkach piekielnych i psotach, jakimi te strachy nękają ród ludzki.

Stąd też wiara ta nie jest u nich tak silną, jak u innych ludów. Przeżegnanie się, wystarcza im do oddalenia od siebie wszelkiej bojaźni, a wtedy nie ma miejsca ani czasu, w któremby gdziekolwiek nie poszli z bojaźni.

Lecz za to wierzą najmocniej w czary, w uroki, w prostocie swój widzą w każdym wydarzonem nieszczęściu skutki czarów uroków, a w każdym już przeminionem skutki odczarowania, odurokowania. Nie są wolni od przesądów,

ale ich mają mało; lecz wiara we wszelkie wróżby jest chroniczną ich słabością. Nawet Ogrodnicy, Kijacy, Skawiniacy, pomimo religijności i wyższego od innych włościan wykształcenia, wierzą więcej aniżeli inni włościanie we wszelkie wróżby, bo do zwykłych naszym włościanom przybył im nie mały ich nabytek z Krakowa. Często też ich chaty odwiedzają, tak zwane Kabalaraki, które rozsiadłszy się po za stołem niby z ułożonej z kart kabały, dużą ich swemi przepowiedniami. To tak się upowszechniło między nimi, iż zwykle w różnych zdarzeniach usłyszysz mówiących. „Juści się tam trza poradzić kabały.“ Jaką zaś wiarę do téj przywiązują, masz dowód, że jeden młody ogrodniczek odważył się ożenić ze starą wdową, dla tego, iż mu kabalaraka przepowiedziała szczęście ze starą żoną, a z młodą nieszczęście i śmierć.

W ostatnich czasach przywędrowała do Ogrodników amerykańska stoliko-

mania, i wywarła silny wpływ na zabobonnych. Deszczółki poruszone nieodgadnionem wpływem jakiegoś nieoznaczonej siły, a kierowane jak zwykle pojęciami, myślami i życzeniami naszemi, sylabizowały nazwy wywołanych niby duchów i tych rozkazy. I tak duch naszego Kazimierza Wielkiego dla tego, że go im przypomina jego Łobzowski pałac wznoszący się w tój stronie, objawił się tu nie w jednej chacie i podług ich wyobrażeń objął opiekę nad jój mieszkaniem. Utrudzała go ta opieka zapewne niemało, kiedy był tak czynny, że w jednej chacie zapowiedział: „jutro z wami rozmawiać się nie mogę, bo będę stąd daleko na ślubie jednej dziewczyny nad którą mam opiekę.“ Niespodziewał się Kazimierz W., że blisko w pięć wieków po swojej śmierci, tak dziwnie zmartwychwstawszy w wyobraźni tych wieśniaków, będzie miał jak za życia nad nimi opiekę, a w zamian tój wzno-

szone będą do Boga za duszę Jego ich pobożne westchnienia, ich jałmużną opłacane pacierze biednych i za ich datki odprawiane Msze święte. Szczęście, że ta stolikomania, to głupstwo naszych czasów, zabłąkawszy się tu, nie wzięło innego kierunku, ale po utwierdzeniu tych włościan w wierze w życie pośmiertelne i po wywołaniu modłów za zmarłych, niknie, jak nikną wszystkie podobne głupstwa na świecie.

I między Góralami jest też sama wiara w czary i gusła, i oni odczyniają uroki przez rzucone zarzące węgle na wodę i nią obmywają to siebie to bydła urzeczone, i oni radzą się wróżek dla wykrycia złodziei lub leczenia chorób. Jch młynarze wierzą w zamawianie młyna, a myśliwi fuzyi i wtem zdarzeniu myją koła święconą wodą i strzelają poświęconą kulą lub śrótem. I opętanych znajdują pomiędzy sobą i z nich czartów wypędzają exorcyzmami.

Nie było moim zamiarem zebrać

wszystkich przesądów guseł i zabobonów włościan okolic Krakowa, ale tylko chciałem zwrócić na nie uwagę. Pragnących się obeznać z niemi, odsyłam do dzieła: Lud Polski przez Łukasza Gołębiowskiego.

Zabawy włościan z okolic Krakowa, jako ludzi, którzy jeszcze nie doszli do tego, aby bawiąc się, pragnęli zająć umysł i serce, zachwycić oczy, ograniczają się prawie na śpiewie, tańcu i częstacyi, mniej jadłem więcej napitkiem.

Za wyjątek pod tym względem można uważać bawiącą ich, a pokazywaną na Boże Narodzenie Szopkę, z którą najczęściej organista z parafii wsie obchodzi. Szopka ta bowiem jak wiemy, jest jakby teatrzykiem maryonetek, w niej ustrojone lalki wyśpiewują kantyczkowe i światowe pieśni, tańczą i rozmowami swemi wywołując radosne śmiechy, zabawiają tych włościan umysły i oczy.

Drugi podobny wyjątek stanowią zabawy zwane: Zapust, Kloc, Pogrzeb żuru, bo wtedy jest u nich coś podobnego do miejskich maskarad.—I tak: udający Zapust w ostatnie dnię mięso-pustu, przybiera się w kożuch kudłami do góry zwrócony i w papierową wysoką czapkę, a towarzysz jego za dziada ubrany niesąc kosz, w który podarki odebrane składa.—Straszą oni dzieci ubiorem; a konceptami i piosnkami rozśmieszają starszyznę. Powiadają naprzykład, że przybywają z kraju, gdzie psy ogonami szczekają; albo nucą piosnkę, którą jak następującą przymawiają się o podarki.

Powiadala nam pani matka swinia,
 Zeście zabili jej syna;
 Jeźlibyście się chcieli zaprzec
 To to są dobre znaki
 Bo to są przed sienią na nawozie kłaki;
 Weźcie no pani matko noża ostrego,
 Napocznijcie nieboszczyka pstrego

A ino też zdaleka ręki
 Byście sobie nie zadali męki,
 Od boku do boku,
 Żeby mi też przybyło w tłomoku.

Przy zabawie zwanój Kloc w popielec, jeden z gospodarzy przebióra się za dziada mającego przedstawiać wstępną Środę. Niesie on do kija przywiązanego śledzia, a za nim idzie gromada dzieci ciągnąc kloc duży. — Łapią oni parobków lub dziewczki i zapręgają do tego kloca, a to za karę, jak wyjaśniają następne słowa ze śpiewanej wtedy piosenki.

Bo my kloce włóczyli,
 Że my się nie żenili:

I dopóty tak złapani wystawieni są na przycinki i śmiechy, dopóki się nie odkupią.

I w pogrzeb Żuru tego codziennego ich pokarmu przez post, ten z parob-

ków, co w wielką Sobotę rozbił pierwszy ciśnionym kamieniem garnczek, w którym się żur w post gotował, przebięra się także w Niedzielę Wielkanocną podług swój fantazyi i wygania z ich chat żur, a za to zbiera w podarku kielbasy i jaja święcone.

We wszystkich innych uroczystościach i pohulankach tych włościan, śpiew, tańce i częstacya stanowią całą ich zabawę i w jednej tylko stypie pogrzebowej, którą pocieszają się po stracie zmarłych, taniec nie ma miejsca. Ale i tu wśród płaczów i lamentów, śpiewać nie przestają, tylko zamiast wesołych piosnek usłyszysz takie:

Niema na świecie nic szczęśliwego,
 Jako Jezusa narodzonego,
 Kochaj! ach kochaj!
 Tęschnij do Niego
 Boć to nam będzie wszystko przydane
 Kiedy się dusza z ciałem rozstanie,

Więcéj nie wezmij ze świata wysługi,
 Daj Jezu w życiu popłacić długi,
 Jedną kosulę z czterema deskami,
 Tak się rozstaje z przyjaciółmi
 Niech moru głodu nie znają,
 Co cię kochają.

Włościanie z okolic Krakowa lubią się bawić, nie uronia, ani opuszczą żadnej do tego sposobności. Temu to ich usposobieniu, winniśmy przechowujące się między niemi Sobótki, Kolędę, Emaus, Smigust, Gaik, Obrzynki, te jakieś uroczystości bałwochwalczych Słowian, zamienione w coroczne zabawy naszych włościan. Gdyby nie to usposobienie, jużby ich chrzcinom nie towarzyszyła ta wesołość śpiewami witająca ochrzczone dziecię; ani ta szczodrota obdarzająca je darem, ani ta gościnnność racząca rodzinę przyjaciół częstacyą. Na to wszystko miło jest patrzeć, bo nam przypominają owe czasy, kiedy wszyscy Polacy takim

zwyczajem tę uroczystość rodzinną obchodzili.

Zresztą wszystkie obrzędy i zabawy przedstawiają ich jako lud pełen życia patryarchalnego, miłujący Boga i bliźniego, przywiązany do zwyczajów i obyczajów ojców, a zdobny serdeczną wesołością.

Najokazalsze połączenie tego wszystkiego w jednym obrazie najwydatniej przedstawia ich wesele. Obraz ten odmalować rzecz niełatwa; chciałbym przynajmniej jego szkic nakreślić, ale i w tym nie szukaj dokładności, bo chcieć a módz, to nie jedno.

Nie tai ich prostota i szczérość chęci wydania za mąż swoich córek, ale przyjętym zwyczajem, ogłasza to publicznie przez upstrzenie białemi płatkami chałupy lub płotu, co zawiadamia, że tu jest dziewczyna na wydaniu. Gdy z woli Boga, jak mówią i wierzą, znajdzie się taki co ją poślubić zapragnie, wtedy rozpoczyna kon-

kurent zaloty do dziewczyny, a uproszony zwykle jój krewny lub krewna, swaty u rodziców. Konkurent stara się podobać i pozyskać miłość dziewczyny. Swach zaś wyjednać mu przychylność i pozwolenie rodziców.

Gdy tak zwane swaty za pomyślnie odbyte uważają, następują Oświadczyzny, rozpoczynające szereg weselnych uroczystości.

Zwykle we Czwartek przed wieczorem konkurent wraz z swym ojcem lub najstarszym z rodziny, przybrani w świąteczne suknie, mając z sobą flaszkę wódki, stają w progu chaty rodziców dziewczyny, a wyrzekłszy: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i usłyszawszy: Na wieki wieków, wchodzą do izby po tém katolickim pozdrowieniu. Tu młodzieniec z przybraną niezwykłą mu powagą, gdy wita rodziców uściśnieniem nóg, wtedy ich córka, domyślająca się z téj oznaki uszanowania, w jakim celu przy-

bywa, znika z pośrodku izby i albo się w niej ukrywa, albo wybiega za chatę, aby tylko nie być uczestniczką następnej sceny kłopotliwej dla jej dziewiczej skromności. I nic dziwnego, kiedy te oświadczenia pozbawiają wszystkich właściwej im śmiałości i otwartości i znaglają aż do téj alegorycznej rozmowy wykrywającej to ich ślache-
tne uczucie, że prosić lub odmówić równą dla nich jest przykrością.

Jakoż o nic nie prosi przybyły ojciec lub krewny, tylko wydobywszy przyniesioną wódkę, zapyta: Napijwa się. W domu własnym odmówić co przybyłemu, u nich nie uchodzi; więc w każdym razie gospodarz po powiedzeniu: Gość w domu, Bóg w domu, albo: Ludzką pracą nie pogardziwa, lub coś z podobnych a licznych u nich wyrażen, woła: Gospo-
sposiu podajcieno kubecek.

Gdy ta kubek prędko poda, dobra dla młodzieńca wróżba, i jeżeli się

z podaniem ociąga, daje mu poznać, że oświadczyzny przyjęte nie będą.

Matka, jak sądzić można z tego, zdaje się mieć pierwsze tu prawo wyrokowania o zameżciu córki. Lecz ten wyrok nie jest jeszcze stanowczy, bo w każdym razie po spełnieniu pierwszych kieliszków z życzeniami: za wasze zdrowie! pyta się ojciec młodzieńca: A kędys to wasa dziewczucha? Ojciec przywołać ją każe, a matka zawsze ją przyprowadzi, bo jak utrzymują: Przecie to nasa dziewczucha nie bydlę, abyśwa ją nieświadomo pozbywali.

Postępując ociągającym się krokiem, z zarumienioną twarzą, ze spuszczone mi ku ziemi oczyma, wiedziona za rękę od swój jak ją zwie pani matki. Stawa dziewczyna przed przybyłemi. Po téj niemój scenie, ojciec młodzieńca zaczyna chwalić jój urodę, czerstwość, zwinność. Czém skłopotanej dziewczynie a przeczącój każdój chwal-

bie, zwykle tylko słowem kiejtam, przybywa w pomoc odezwanie się jój ojca najczęściej takie: Nie psujwa nam dziewuchy, a Bogu chwala, że wam tak dobrze w oczy wpadła. Lecz to nie wstrzymuje dalszych pochwał, tylko te zwraca na jój dobroć, pobożność, gospodarność i dochodzi temi pochwałami do zamierzonego celu, to jest do zapytania rodziców, kogo uraczą taką żoną i gospodynią i do podania dziewczynie napełnionego wódką kieliszka, z którym ona ma odegrać scenę najważniejszą i zakończającą Oświadczyńny.

Kieliszek ten z wódką odbiéra ojciec i podaje jój, co jest znakiem udzielonego pozwolenia do mienia i objawienia w tém swej woli.

W każdym razie dziewczyna wzdryga się i waha przyjąć podawany jój napój. To odwracając się zasłania sobie oczy fartuchem, to kryje wstyd swój w objęciach matki, i z tego naj-

milszego jój schronienia, albo całując ręce ojca, nieprzyjmuje napoju, co znaczy odmówną odpowiedź, albo bierze go, upija, a zwróciwszy się do młodzieńca, podaje mu resztę, co oznacza przyjęcie jego oświadczyn i wezwanie aby wypróżnił kielich w dowód, iż tak wspólnie z nią całe życie wychylać będzie aż do dna ten kielich, jaki im wola Boga przeznaczy, aby spełnili w pożyciu małżeńskim.

Co widząc ojciec młodzieńca, odzywa się do jój rodziców: Przychodzięwa prosić, abyście dali waszą dziewuchę za żonę naszemu chłopakowi.

Jest zwyczaj, że nigdy do prośby téj zaraz się nie przychylają, boby to jak mówią, z ich córki było krzywdą, gdyć by to patrzało, żeśwa ją radzi z domu pozbyć; dla tego zawsze wynajdą jakie przeszkody, a te najczęściej będąc wyrzutami przeciw postępowaniu dotychczasowemu młodzieńca, są zarazem napomnieniem i

nauką, jak żyć nadal powinien, aby zyskał błogosławieństwo Boskie i przyjaźń ludzką.

Gdy te przeszkody zniszczy młodzieniec zapewnieniem: że jak się ożeniewa, to się i poprawiewa, a ojciec poprzestając na tém wyrzeczcie: kiéj taka wola Boga, otoé w imie Boże, bierzta ją sobie, wtedy oboje rzuciwszy się do nóg rodzicielskich, ściskając i całując je, dziękują im, a rodzice złożywszy swoje ręce na głowach dzieci, błogosławiąc mówią: Błogosław Boże — Szczęść wam Boże.

To błogosławieństwo uważają zarazem jako wspólne zaręczenie poślubienia swych dzieci, i stąd ostatnia ta ceremonia już nie należy do Oświadczyn, ale jest tak zwanemi Zaręczynami.

Ta chwila spełniająca obydwóch rodzin nadzieje i życzenia, wznieca w ich sercach to serdeczne uczucie, co nam

się śmiać i płakać zarazem każe, co potrzebuje wzajemnych całowań i uściśnień, téj tajemnej spowiedzi serc naszych. Błogie te uczucia zmieniają się na inne za przybyciem ich rodzin i sąsiadów, którzy przyjętym zwyczajem schodzą się zaraz dla złożenia powinszowań zaręczonym i ich rodzicom. — Radzi tym gościom są wszyscy, bo nie będąc samolubcami, pragną swoim szczęściem podzielić się z innemi. I tak *jest, bo ten lud ma dla nieszczęśliwych smutek, dla szczęśliwych radość*. Po powinszowaniach i podziękowaniach, rozpoczyna się częścacya, spełnieniem zdrowia za pomyślność zaręczonych. — Nawet młode dziewczyny odwróciwszy się po kilka razy i po kilka razy przychylając do ust kieliszek, wypróżniają go zupełnie, a za złą wróżbę mają, gdy w nim choć kropla napoju zostanie. Co stwierdza ta ich piosnka:

Ojciec zaś jego w piosence powtórzy, że proszonym był o to i dał pozwolenie:

Tatusiu, matusiu! ja się zenić będę.
Zenze się, synaczku! bronić ci nie
będę.

Obok takich i podobnych śpiewów usłyszą zaręczeni i tę z przestrogią piosenkę:

Ozeń się, nie bój się, dobrze tobie
będzie,
Będziesz miał co kochać, ale jeść
nie będzie.

Chociaż często i całą noc trwa częstacya przy zaręczynach, odpowiednich piosneczek nie braknie, bo ich nie wyczerpany zapas mają.

Na drugi dzień po zaręczynach, to jest w Piątek, narzeczona odbiera od narzeczonego albo już zrobione wian-

ki, albo téż na nie kwiatki i wstążki. Wianki te godła życzeń i spełnionych nadziei, roznosi potém sama i rozdaje wszystkim dziewczynom we wsi, prosząc do kościoła na swoje zapowiedzi. O tém zwyczajuj, tak oni śpiéwają:

Kwiatecki, wianecki, niesie ci w o-
fierze.

A potém i twój ci dziewczyno zabierze.
Dostanę rozdane między rówiennicki,
One mi téż za to nadstawią spódnicki.
Bym się nie potłukła gdyć z embonki
spadnę,
Boćbym nie tak była jak one są ładne.

W Sobotę idzie narzeczony do księdza proboszcza, aby, jak mówią, dać na zapowiedzi. W Niedzielę prawie wszyscy z całej wsi przybrani w świąteczne ubranie, a dziewczęta do tego w dane im od narzeczonej wianki, schodzą się do kościoła.

Mężczyzni siedzą w ławkach, a ko-

biety klęczą w pośrodku kościoła, a na ich czele narzeczona w gronie dziewcząt, narzeczony zaś z uproszonym družbą stoją przy drzwiach kościelnych.

Po nabożeństwie i zapowiedzi, obaj zastępują drogę wracającym z kościoła i proszą, aby wstąpili do karczmy. Zaproszonych najprzód narzeczony częstuje wódką, potem zaś to rodzice narzeczonych, to krewni i sąsiedzi; bo cała wieś u nich składa jakby jedną rodzinę. I taka częstacya trwa do końca zabawy.

Wprowadziwszy się do karczmy, kiedy oni się w niej częstują, ja przez ten czas opowiem, czém jest dla nich ta karczma.

Słoneczko, karczemka, dwa podarki Boże
Bez tych żyć Krakowiak na świecie nie
może.

Słoneczko go żywi, karczemka go bawi,
Niech za to cię Boże człowiek błogosławi.

I po części prawdę ta ich śpiewka głosi, bo pomiędzy tym ludem, miłującym nadewszystko wspólną zabawę, wielu jest takich co wstrzymać się nie mogą od iścia do karczmy, gdy w niej odezwie się muzyka, a wstrzymani jaką przeszkodą, doznają nie dającą się pokonać tęsknoty.

Karczma, pomiędzy chatami tych włościan, jest największym budynkiem. — Odznacza się zwykle tak zwaném Podcieniem, będącém przedsionkiem wznoszącym się na słupach a pokrytym dachem.

W nim młodzież zmęczona tańcem, szuka orzeźwienia na świeżém powietrzu, a często sposobności do wynurzenia sobie wzajemnych uczuć.

W karczmie izba największa, zwana Szynkownią, jest, że tak powiem, ich zabaw świątynią. Ołtarzem téj świątyni jest przechowująca trunki szafa, stojąca poza poręczą czyli sztachetami, a kapłanem tego ołtarza jest

brodaty żyd, zwany karczmarzem; wyjąwszy w wioskach położonych w Królestwie Polskiem, gdzie kapłanami temi być nie mogą żydzi na szczęście tych włościan.

W téj szynkownej izbie stoi przy ścianie duża drewniana ława, a przed nią stół, który w czasie odbywających się tańców, zamienia się w chór, bo na nim siedzi muzyka i matki z dziećmi.

Gdy na tym chórze w czasie téj częstacyi muzyka zarznie, jak mówią od ucha, na skrzypcach i basach krakowiaka, wtedy dróżba wysuwa się na środek i wywołuje innych do tańca, to swoją postawą przedstawiającą naprzemiany to zuchwałość i łagodność, wesołość i smętność, to skokami, wytupywaniami, przyklaskiwaniem, a potem wywołując podrygując i przytupując, posuwa się zwolna robiąc tem różne miejsce dla mających tańczyć. Wtedy z dróżbą łączy się kilku młodzieńców i pod jego przewodem roz-

poczynają taniec zapraszalny. Jest to krakowiak, ale w niém postawa, ruchy okazują nie te uczucia jakie ich unoszą zwykle w tym tańcu; lecz w ich oczach upatrujących tanecznicy widzisz kłopotącą niepewność, a ich głowy opuszczone ku ziemi, wykrywają namyślanie się, a wzniesione w górę zawiadamiają o zrobionym już wyborze. Wtedy rękoma rozłożonemi błagają wybraną dziewczynę, a zbliżywszy się do niej w płasach wyprowadzają ją do tańca przyklaskując rękami na znak chwalby i zgody.

W dniu tym tanecznicę wybrana przez dróżbę jest spadła z ambony narzeczona. Z nią staje przed muzyką, a utkwionym w jej oblicze wzrokiem, zaczerpnawszy jakby natchnienia, zaimprovizuje piosnkę odnoszącą się zwykle do niej, jak naprzykład taką:

Co się miało, to się stało
I ludziom się powiedziało,

Ze sta jesta zaręczeni,
A będziewa zaślubieni,

Piosnka ta družby jest wydanym rozkazem muzyce, aby na tę nótę na jaką była zaśpiewana, zagrała im Krakowiaka.

Kiedy więc wszyscy na świecie zwykle tańczą jak im zagrają, jedni Krakowiacy tak tańczą, jak sobie sami zaśpiewają. To szczególniejsze odróżnienie, zdaje się naprowadzać na domysł, że taniec ten powstał na łonie rodzącej się społeczności, kiedy kto chciał, a był odważny i śmiały, obejmował dowództwo nad innymi.

Domysł taki czyni prawdopodobnym wszystko w tym tańcu, bo nie tylko to ci wskazuje tańczący w pierwszą parę a prowadzący za sobą innych, kierujący ich obrotami i ruchami; ale masz ten taniec połączony ze śpiewem, co jak się zdaje, że pochodzi z czasów, w których jeszcze nieumiano u-

żyć muzyki, aby wtorowała tańcom, i zastępowano ją śpiewami.

Z resztą utwierdza to mniemanie, że w tańcu tym naturalność jest jego pięknością, że ją oszpeca każda okrasa sztuki, i że taniec ten wyraża tylko te uczucia, jakie na łonie pierwiastkowej prostoty władały człowiekiem.

Taniec ten jest chwilą wyświecającą nam jak poetycznym i muzycznym jest ten lud, kiedy swoje piosnki improwizuje, nutę do nich układa, muzyka zaraz ją wygrywa, a oni w takt ją tańczą. O! te ich piosnki i muzyka, to dwie siostry, a taniec, to ich brat wszyscy zaś troje, to bliźnięta, tak podobni do siebie, że zaraz każdy odgadnie, że to dzieci jednej matki, a tą była Chrobacya. A choć już tyle wieków przeżyły, nie zmienił się ich pierwiastkowy charakter i zawsze je zaleca prostota swoboda i wesołość.

Gdy muzyka zagra Krakowiaka, rozdzielają się pary — kobiety ze skro-

mną minką w lekkich płasach uciekają w jedną stronę, a mężczyźni przytupując i pokrzykując: hejże ino, dana ino, puściwszy się w stronę przeciwną, spotykają je w tej ucieczce, a zgrabnie i zwinnie podsunawszy ręką pod ramię tancerki, chwytają je w swoje objęcia. Ujęta spięra się ręką na jego ramieniu, poddaje się jego woli, a on ją prawie unosząc na swęj silnej ręce tańczy z nią pobrzękując mosiężnemi kólkami pasa i krzesząc iskry z stalowych podkówek, a to wszystko z miną i ruchami wykrywającemi radość i wesołość.

Aby tak tańczyć Krakowiaka jak go oni tańczą, trzeba się urodzić Krakowiakiem. Patrząc na ten ich taniec, zdaje się, że widzimy obraz porwania dziewczic. Lecz czegoż nie widzimy w tym pełnym poezyi tańcu, kiedy co moment jakieś w nim zmiany, a po zmianie nowe obrazy przedstawiające

niemal całą historią dwojga kochanków.

Zawsze odgadniesz, co każdy obraz przedstawia, bo śpiewane przy tém Krakowiaki, są jak na dawnych obrazach napisy z ust wychodzące, co wygłaszały myśli, czucia, wymalowanych osób.

Po przetańcowaniu kilkakrotném w koło, zatrzymują się przed muzyką, a tańczący w pierwszą parę znowu im zaśpiewa i znowu tańczą.—Po czterech pięciu takich tańcach, muzyka grać przestaje, a podług ich wyrażenia: ucina im muzyka, i na tém kończy się taniec tak niespodzianie, jak zwykle na świecie kończą się życia naszego roskosze i przyjemności.

Z tém nagłym wypowiedzeniem posłuszeństwa, albo tańczący w pierwszą parę stawa przed muzyką i rzuconemi w skrzypce kilku czeskiemi przywodzi ją do posłuszeństwa i utrzymuje się przy dowództwie w następnym tań-

cu, albo udaje się na wypoczynek, a inny płacąc muzykę spadkobiercą praw jego zostaje. Z początku dość zgodnie te przemiany następują: lecz później, gdy podpiją a to zwykle następuje, bo tańczący w pierwszą parę i sam pije i drugich częstuje, wtedy nietak łatwo jeden drugiemu tego pierwszeństwa ustąpi, a stąd kłótnia a często i bijatyka.

Gdy zaś włościanie ci jak sobie podchmielą są szczodrzy, nic nie żałują wszystko chętnie oddają; więc wiodący taki réj w tańcu zwykle wszystko co ma wyda na częstacyą a szczególniej na muzykę i dla tego można ich słyszeć śpiewających:

Skrzypek se pan Skrzypek, my jego
rolnicy

Nie zostawi cłeku nawet i górnicy.

I górnica wlezie w jego skrzypek dziurą

Ale za toć jesta ponad wszystkich górą.

Tak rozpoczęte tańce przez dróżbę trwają zwykle aż do rana; ale zawsze w dniu tym w pierwszej parze zobaczysz albo zaręczonych, albo družbę lub druchnę.

Ponawiają oni taką chulatykę i po następnych dwóch zapowiedziach, szczególnie Proszowiaki i Skalmierzaki.—

We Czwartek przed Niedzielą na ślub przeznaczoną, družbowie których czasem jest i czterech przybrani w bukiety obok których powiewają przywiązane za końce kolorowe chustki a w ręku śmigłe baty i różnobarwne chorągiewki, dosiadłszy stósownie przybrane konie w kwiaty i pobrzękujące przywiązaniem dzwonkami, zaczynają spraszać na wesele, a to nietylko w swój wiosce, ale i w sąsiednich. Takie wystąpienie družbów z batami i chorągiewkami zdaje się być pozostałością po Słowianach, którzy zbrojno stawali na wesela.

Tu masz sposobność przekonania się, że Krakowiak przyrasta prawie do konia, gdy na niego siedzie. Bo chociaż często podchmielał sobie tak, że i na nogach utrzymałby się nie mogli, nie spadną z konia, ale galopując przeskakują rowy i płoty i w galopie wpadają małemi drzwiczkami do chat, aby zaprosić ich mieszkańców na wesele tym śpiewem:

Prosili nas

I my też was

Żebyście nami

Ubogiemi pachółkami

Niegardzili

Ino panią młodą i pana młodego

Do ślubu małżeńskiego

Doprowadzili.

W sobotę ciż sami družbowie podobny objazd robią rozwożąc zaproszonym dziewczynom bukiety przy których doręczaniu znowu śpiewają:

Wieziewa kwiatecki
 Uwite wianecki
 Byśta w nich przybyli
 Z nami potańczyli
 Z serdeczną radością
 Ludzką gościnnością.

Gdy w dniu tym pierwsza gwiazda
 zaświeci na niebie, družbowie zajeżdża-
 ją przed chaty w których mieszkają
 druchny i inne dziewczęta i te, aby
 szły z niemi zaśpiewać Pannie młodej
 na dobranoc, wywołują następną piosnkę.

Otwórz-ze otwórz-ze
 Niech ja się nie burzę,
 Niech ja z konia zlizę
 Fajeckę zakuzę.
 Otwórz-ze mi otwórz
 Moja panno pirwsa,
 Jak mi nie otworzys,
 Otworzy mi insa.

Otworz-ze mi otworz
 Moja panno wrota,

Niechże ja nie złazę,
Z konika do błota

Pani matko nasa
Córecka nie wasa
Jedną córkę macie
Dajcież nam ją dajcie.

Potém zebrane grono dziewcząt i chłopaków z przybraną muzyką przygrywającą ich śpiewom, ciągnie przed chatę Panny młodej wykrzykując i strzelając z pistoletów.— Przed jéj chatą wrzawa ustaje a pierwszy dróżba śpiewa.

Dobra nocka dobra
Dziewczynno nadobna
Cegóż będziesz płakała
A czemuż nie sła
Kiej cię ludzie chcieli
Tylko na nas cekała

Dobra nocka dobra,
Dziewcyno nadobna,

Bodajżeś zdrowa spała —
 Da wybrałaś ci se,
 We trzech sokolikach.
 Jakiegoś sama chciała.

Dobra nocka dobra,
 Dziewcyno nadobna,
 Nadchodząc pod tve ściany —
 A wynidź - ze do nas,
 A przywitajze nas,
 Patrz jaki ja zwalany.

Dobra nocka dobra,
 Dziewcyno nadobna,
 Zachodząc pod tve okna —
 A wynidź - ze do nas,
 A przywitajze nas,
 Sukmanka na mnie zmokła.

Dobra nocka dobra,
 Dziewcyno nadobna,
 Nadchodząc pod tve progi —
 A wynidź - ze do nas,
 A przywitajze nas
 Chociazem ja ubogi.

Po skończonym tym śpiewie druźby,
wszyscy razem śpiewają:

A cy my to pani matko nie ludzie
Co do nas ta dziewczyna nie wyjdzie?
nie wyjdzie?

Tu dopiero wyprowadza ją matka a
dziękując za całodzienną fatygę dru-
żbom a za przybycie dziewczynom,
zaprasza wszystkich do chaty. Wcho-
dzących do izby wita ojciec z flaszką
wódki i kieliszkiem, a dróżba śpiewa
jeden z podobnych Krakowiaków:

Hojże chłopcy, hojże żywo
Jest gorzałka jest i piwo;
Jest gorzałka przepalana
Jest i dziewczyna kochana.

Kiedy wszyscy wypróżniają koleją
kieliszki wykrzykując: na dobranoc!
zakrada się do chaty narzeczony, co
spozstrzegłszy dziewczyny, biorą go

między siebie i gwałtem wyprowadzają z chaty śpiewając:

Dajże pokój dziewczynie,
 Niech pomyje naczynie
 Niech się Bogu poleci
 Nim rodzinę odleci.

I wśród podobnych śpiewów odprowadzają go do domu.

W dzień ślubu rano, druchny przybywają do panny młodej a dopomógłszy jej w ubraniu, idą z nią od chaty do chaty spraszając na ślub; a prawie z każdej chaty wychodzą z błogosławieństwem i z podarkiem, choćby najmniejszej wartości.

Wraca Panna młoda z podarkami do domu, aby zabrać z niego najkosztowniejszy podarek, bo błogosławieństwo Ojca i Matki. O ten tak wielki dar proszą druchny śpiewając:

Błogosławże nam matko moja,
 Bo już idemy do kościoła;
 Błogosławże nam ojcie mój,
 Bo już idziemy na ten ślub.
 Błogosławże nam siostró moja,
 Bo już idemy do kościoła.
 Błogosławże nam bracie mój,
 Bo już idemy na ten ślub.
 Błogosławże nam Jezusie
 Od téj kochanéj matusie.
 Błogosławcież nam wszyscy ludzie,
 Bo już dziewczyna na ślub idzie.
 A przełóż-że pani młoda bez progi
 Auchyćże pana ojca, panią matkę za nogi.

Jakoż rzucają się Państwo młodzi
 do nóg swoich rodziców, i rozpoczyna
 się ten uroczysty akt, zwykle płaczem
 i lamentem bolejącej matki; że dom
 jej będzie osierocon, że dziecko swoje tra-
 ci z oczów i że tę miłość, staranie i o-
 piekę, jakie dotąd od niej odbierała
 zdać musi na kogo innego.— Lamen-
 tom matki wtoruje córka głośnym pla-

czem, a ojciec i cała rodzina głośnemi łkaniami.

Tę smutną chwilę, ale dla ich serc chlubną, bo wykrywającą jaką miłością pałają dla swój rodziny, przerywa powiedziana oracya przez uproszonego gospodarza, którym to mowcą najczęściej bywa Swat. Przyjętym zwyczajem zaczyna on swoją przemowę, wielbiąc ten żal słuszny rozdzierający ich serca.—Ale gdy taka jest wola Boska, aby to rozłączenie nastąpiło wzywa ich do ofiarowania téj boleści Bogu i upewnia, że jego miłosierdzie ześle im w zamian za tę ofiarę, osłodę i pociechę, i sprawi, że rozłączając się miejscem, nie rozłączą się sercami i żyć z sobą będą myślą i pamięcią, dochowując wzajemnej miłości. A ukoivszy tak ich żal, wzywa rodziców, aby dzieciom idącym do ślubu, udzielili błogosławieństwo, będące rękojmią ich przyszłej szczęśliwości w pożyciu małżeńskim.

Na wezwanie to, klękają wszyscy

zgromadzeni, a w pośrodku nich państwo młodzi. — Wtedy rodzice kropią ich święconą wodą, a złożywszy swoje ręce na głowach swych dzieci, błagają Boga, aby za błogosławieństwem rodzicielskiem idące błogosławieństwo boskie przybyło im w pomoc, iżby spełniając dawne powinności względem Boga i rodziców, podolali nowym, a to pan młody jako mąż, ojciec i gospodarz, a panna młoda jako żona, matka i gospodyni.

Z uścisków rodzicielskich zakończających to błogosławieństwo, družbowie wyrywają pannę młodą, a druchny panna młodego, a to na wezwanie swata śpiewającego:

Do cugu konisie, do cugu,
 Wybierajże się pani młoda do ślubu.
 A jużci ja się ubrała
 W turecką spodnicę com miała.
 W turecką spodnicę, w srebrny pas,
 Wdziewajże na się, bo już czas.

Bo już idziemy,
Już wychodziemy.

Dziewucha iść nie chce.
Błogosław nam panie ojce jesce.

Przed drzwi chałupy zajeżdżają wozy, w które wsiadają rodzice, panna młoda, druchny i wszyscy inni goście. Pan młody zaś, družbowie i cała prawie młodzież, dosiadłszy koni, towarzyszą im tak, że wóz wiozący pannę młoda, jest od nich otoczony. Pochód ten rozpoczyna zwykle wóz wiozący muzykę, przygrywającą tym ich śpiewom przedślubnym:

Postępujże dziewczce śmieie,
Postępujże po kościele,
Postępujże po cmentarzu,
Będzie twój ślub przy ołtarzu.
Już my idziemy,
Już dochodziemy.

Pod ten kościelny zamek,
 Będziemy oglądać
 Najświętszej Panny domek.

Najświętsza Panna dobrze czyni,
 Całemu światu gospodyni.
 Najświętsza Panna stadła łączy,
 Wspomagajże Boże Wszechmogący.

Przybywają do kościoła przed odprawiać się mającą summa, po której wysłuchaniu, wiodą przed ołtarz pannę młodą druchny, a pana młodego družbowie. — Obrzędu ślubnego wspominać nie będę, bo ten odbywa się podług znanych każdemu przepisów kościoła katolickiego. Lecz wspomnieć mi należy niektóre ich przesady przy ślubie.

Družbowie prowadząc pannę młodą, zważają czy ona nie posunie nogą, bo to mają za wróżbę przedkiego pójścia za mąż pierwszej druchny. Pan młody z panną młodą uprzedzają się o pierwszeństwo wstąpienia na stopnie ołtarza, i w położe-

na wierzchu ręki w czasie wiązania ich stulą, bo tém podług nich uzyskuje się przewaga w małżeństwie. Nie stawają twarzami do ołtarza, ale te zwracają do siebie kiedy ksiądz ich pyta: „tę którą widzisz przed sobą“ aby wtedy siebie a nie kogo innego widzieli, bo to jak sądzą do niewiary małżeńskiej wiedzy.— Panny młodej uśmiechnienie się pod czas ślubu, wróży niepomyślne pożycie w małżeństwie, a jój płacz zamieni się w radość po ślubie. Jasno palące się wreście na ołtarzu świece, upewniają ich że szczęśliwém to małżeństwo będzie.

Od ołtarza odprowadzają Pannę młodą mężatki a Pana młodego żonaci i wieżą ich do domu panny młodej wyśpiewując jój:

Przysłam se z Kościoła siadłam se na
progu
Jużem się wydała chwała Panu Bogu.

a panu młodemu:

Hojze ino dobra
Twa zonecka z zobra;
Ślubowała cnotę
Dbajze teraz o tę.

Wśród tych i podobnych śpiewów, gdy wrócą pod rodzinną strzechę, wtedy na jej progu Państwo młodzi rzucają się do nóg rodzicielskich, a gdy ci im podają chleb, sól i srebrny pieniądz, stary swat śpiewa:

Spraw Boże!
W pokorze
Byś to pozywali
Z biednym podzielali.
Nasza Panna święta
Niech o was pamięta!
I cichości i słodyczy
Waszój kobiecie uzycy.

Potem wszyscy składają powinszo-

wania Państwu młodym, a oni dziękują za to starszym uściśnieniem nóg, ucałowaniem rąk, a młodzieży serdecznemi uściskami.

Za wnijsciem do chaty, matka tym śpiewem zaprasza przybyłych, aby pożywali rozłożone na stołach różne jedzenia.

Zapraszam was na ten chléb,
Co go najstarszy dróżba piekł
Nie umiał go zatoczyć
Musiałci go potłoczyć.

W opak nalepa w opak piec
Nie umiała pani młoda chleba piec,
Jedną jeno kukioleckę upiekła
Jesce z nią do komory uciekła.

Na co jój družba taką piosnką odpowiada:

Co tylko mają,
Z sercem to dają

Pożywajcie
 Popijajcie
 Serduska się uradują,
 Ze gościnnie poczęstują.

Gdy podjedzą i podpiją druchny śpię-
 wają:

A coż to za druzbisko
 Zamarzło mu kiesienisko,
 Trzebaby mu wody zwarzyć
 Kiesienisko mu odparzyć.
 Nie lusy druzba nie lusy
 Z za stołu druchien nie rusy.

Na wyzwanie to družb śpięwa.

Wyjadły wypily,
 Za to zabaczyły,
 Bogu podziękować
 A juz chcą tańcować.
 Koziółka magnijcie,
 Jeżeli nie powiecie.
 Bóg zapłać Matusiu
 Bóg zapłać tatusiu.

A ująwszy sobie muzykę datkiem włożonym do skrzypek, rozkazuje grać poloneza i wszyscy idą do karczmy pokrzykując i wyśpiewując.—Tu tańce, śpiewy hulanka, w których i starsi biorą udział, trwają aż dopóki starosta weselny proszony od pana młodego nie zaśpiewa:

Moje starościny zjadłyście pół krowy,
Jesce nie cepicie panny młodej głowy

Na co starościne odśpiewują:

Dajze nam, dajze nam Jasiu garniec
wina,
To my ci Kasickę dzisiaj zaczepiewa.

Gdy się im opłaci jak powiadają
pan młody, wtedy biorą między siebie
pannę młodą śpiewając:

Ach Kasiu juz cię cepiemy,
Jutro cię babą ujzremy

Oj przypatrzcie się wszyscy ludzie
Bo Kasinka za mąż idzie.

Druchny i Druźbowie chcą im ode-
brać Pannę młodą śpiwając:

A moja Kasienko sto talarów za cię
Zeby mi cię dali zapłaciłbym za cię.

Lecz starościna wyręczając pannę
młodą śpiewa:

Bądźcie chłopcy zdrowi, bo już za
mąż idę,
Przedałam dziś wolność kupiłam se
biedę.

I prowadzą ją kobiety do domu ro-
dzicielskiego na czepiny przyśpiewując:

Do jamy wilku do jamy,
A ty dziewczyno pójdź z nami,
Do jamy wilku nocować,
Ty nam pójdź wianek darować.

Do jamy mysko do jamy
A ty Kasinko pójdź z nami.

W chacie wiodą ją do komory, gdzie
posadziwszy na Dziży zaśpiwają jój
naprzód znaną pieśń:

Zebyś ty chmielu na tycki nie laz
Nie robiłbyś ty z panienek niewiast,
Ale ty chmielu na tycki idziesz,
Nie jedną pannę na niewiastę zwie-
dziesz.

Potem przy rozbiéraniu głowy czego
panna wzbrania:

Pomalutku rozbiérajcie
Warkocka jój nie targajcie.
Bo tez to w tej niewoli
I główka ją bardzo boli.

Dalej zdejmując jój wianek:

Ziele moje ziele mój rozmaryonie
Juscie moja rączka ostatni raz łomie.

Nakoniec przy wdzianiu czepka:

Moje miłe kobieciecki
 Nie załujciez tez siatecki;
 Niech nie siedzi między wami
 Jako chachoł roztargany.

Po tém zaczepieniu wyprowadzająca ją starościna z komory śpiewa:

Napatrzcież się wszyscy ludzie
 W wianku była, w cepcu idzie;
 Pięknie jój było w wianecku,
 Jesce jój piękni teraz w cepecku.

A stanąwszy przed muzyką, rozpoczyna z nią taniec prześpiewawszy:

Jus tobie nie trza chasać z chłopakami
 Ale popodrygać z lekuciecka z nami,
 Boć gdybyś z niemi tańczyła,
 Tobyś sobie zaszkoziła.

Następnie tańczą z nią wszystkie mę-

żatki i druchny, a każda jéj co za-
 śpiéwa, i usłyszy podobne piosnki to
 od mężatek:

Nie bijże ją bicem
 Bo nie będzie nicem,
 Ale bij ją liną
 Będzie gospodynią.

to od druchny:

Pragnęłaś Kasinko na kawałek sieci
 Niechże ci się teraz na główecce świeci.

Gdy zaś po oczepinach, już męż-
 czyzni z panną młodą nie tańczą dla
 tego, to druchny śpiéwają družbom:

Družbowie, družbowie, równają się
 panom,
 A jak po weselu za chłopców nie staną.

Po tym tańcu kobiecym zaczynają
 mężatki targ z Panem młodym śpié-
 wając mu:

O mój miły Panie młody
 Wynieście nam konew wody,
 Konew wody, konew piwa,
 Kięż ci Kasię oddajewa.
 A jezeliś rad chłopcu
 To nam daj gorzałki w skopcu
 A jezeliś rad dziewczynie
 To nam wynieś choć w flaszyne.

Podrożywszy się Pan młody częstu-
 je wszystkich i tém zakończy pierwszy
 dzień wesela. - Mówię pierwszy dzień,
 gdyż stósownie do zamożności wypra-
 wiających wesele, trwa ono czasem aż do
 drugiej niedzieli i to nieprzerwanie, bo
 gdy jedni po znużeniu używają spo-
 czynku, drudzy piją i tańczą i ciągle
 karczma się nie wypróżnia.

Gdy nadejdzie dzień oddawin, ca-
 ła weselna drużyna zajeżdża przed
 chatę panny młodej, gdzie już stoją
 fury wyładowane jēj wianem. Kiedy
 ona żegna się z rodzicami i z rodziną,
 wtedy przytomne kobiety wyspięwują

długą pieśń wygłaszającą jej pożegnanie z każdym sprzętem nawet domowym, zawierającą, że tak powiem, upomnienie się o wiano, bo w niej usłyszysz np: te wiersze:

Zawołajcież mi pana ojca mego
 Bo mu będę dziękować;
 Ono jest w piwnicy,
 Talary licy,
 Bo cię będzie wianować.

Podobnemi są odwoziny Panny młodej do domu Pana młodego, jak gdy ją wieziono do Kościoła; z tą tylko różnicą, że przy odwozinach wstrzymują jadących to zastawianiem drogi, to wstrzymaniem koni i dopiero ucęstowanie wódką, którą na ten cel z sobą zawsze mają, otwiera im dalszy przejazd. Zdaje się, że ten zwyczaj przechował się u nich po Słowianach i przypomina nam te czasy, kiedy konno i zbrojno z przyjaciółmi do rodzi-

ców ulubionój przybywał Słowianin i żonę swą porywać musiał.

Powyższy opis nie trzeba uważać za niezmienny program podług którego odbywają swoje wesela, gdyż od niego często odstępują a to z różnych przyczyn a najczęściej przez nieposiadanie pieniędzy na takie wydatki.— Zresztą i w tem znajdziesz odróżnienie między włościanami Krakowskiemi. I tak Górale odbywają swoje wesela bez wszelkich gdzieindziej używanych uroczystości.

Zaproszeni na wesele goście przynoszą różne żywności; wódka jest tylko obowiązkową na kieszeń gospodarza. Panna młoda ani druchny nie mają wieńców z rozmarynu, ani z ruty, tylko głowy ich upstrzone są zwykle mnóstwem różno kolorowych wstążek. Nie tańczą tu krakowiaków, ani ich śpiewają, tylko stawają tancerze i tancerki na przeciw siebie rzędem, potem chwytają się pary i kręcą do zawrotu

głowy, a puściwszy się, robią naprzeciw siebie przysiudy i skoki z kozacka po węgiersku. — Podczas gdy jedni tańczą, drudzy śpiewają, ale każdy swoje, ile mu głosu starczy. Włościanie także z wiosek najbliższych Krakowa jako to: Ogrodnicy, Prądniczanie, Kijacy, pomimo nawet swój zamożności, nie odprawiają już tak uroczystych wesel, a przyczyną tego zdaje się być z dumy pochodząca chęć odróżnienia się od innych włościan, a naśladowania w tem Krakowian.

Zakończam ten opis włościan z okolic Krakowa tem spostrzeżeniem, że i w chwilach samej śmierci jeszcze nam ci włościanie przedstawiają odmienny widok do jakiego oczy nasze nawykły, bo inne uczucia i w téj ostatniej chwili, władną ich sercami.

Żal życia bojaźń zgonu, te zwykłe towarzyszeki śmierci nie mają z nią wraz przystępu do ich śmiertelnego łoża. — Odpycha je umiérający, lecz

nie powiem, że wiarą bo pochwał ich
nie piszę, ale powiem prawdę, że
sprzykrzeniem sobie życia, w które
łatwo popadają na starość i w cho-
robach.



Ze zbioru
ADAMA KAJZEGO

S-96

56.457

120

K

210/33

12/260

POLITECHNIKA KRAKOWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

L. inw. 142705

Kdn 452/57



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000340383